Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Wspomnienia myśliwskie.

Spisał

Ezechiel Berzeviczy.

I.

(Wyprawa na cietrzewie. — Ranek w lesie. — Kszyki na drzewie. — Polowania w Turynce. — Przygoda z pantoflami. — Pomoc niespodziewana. — Cudowny „cwancygier“.)

Lat temu pięćdziesiąt cztery byłem czynny jako adjunkt geometryczny przy exdywizyi przez sąd delegowanej w Batiatyczach. Przybyłem tam pod wiosnę i zdumiałem się, usłyszawszy granie cietrzewi, osobliwie przed wschodem słońca. Nie przypuszczałem, żeby taka ilość cietrzewi znajdować się tam mogła. Byłbym dla miłości tego polowania wszystko porzucił, lecz cały nasz personal sądowy był przez większość właścicieli wrogo widzianym, zatem nie wolno nam było polować.

Przecież razu jednego, namówiony przez miejscowego myśliwego, udałem się z nim wieczorem, żeby skoro świt być w budkach, przygotowanych tam, gdzie koguty grały. Po parogodzinnej drzemce na stercie siana, zaledwie świtać zaczęło, wszczął się ruch między szermierzami cietrzewiego rodu. Powłaziliśmy do naszych budek. Najpierw słyszeliśmy tu i owdzie podrywanie się i krótkie odzywanie, jakgdyby wyzywanie do zapasów, niebawem jednak rozpoczęło się z razu rzadsze, a potem coraz częstsze bulkotanie, które wreszcie tak na okół rozbrzmiało, że trudno było się zorjentować, w którem miejscu właściwie to się odbywa. Zdawało mi się, że ile żab w około rekocze, tyle i kogutów gra.

Nareszcie słyszę granie niedaleko mojej budki, ale kogutów nie widzę. Nie rozwidniło się jeszcze dobrze. Czekam, trzęsę się aż z niecierpliwości, lecz nadaremnie — nie widzę — coś niby majaczy, lecz jeszcze niepodobna strzelać. Nakoniec, gdym zobaczył cietrzewie, przyskakujące jeden do drugiego, już było za daleko — nie strzelałem. Nie lepiej powiodło się i memu towarzyszowi.

Nie żałowaliśmy jednak fatygi, bo cóż to za rozkosz była słuchać i patrzeć na to wszystko, co się tam działo. Ruch nadzwyczajny wszelkiej zwierzyny — gwar w około! Tu koguty grają — tam słonki ciągną, a tuż poprzed budę lis wolno się skrada, może do cietrzewi. Nareszcie trzeba było z budy wyłazić, bo koguty, prawdopodobnie lisa zobaczywszy, odleciały — aż naraz jak nie beknie cap za mojemi plecami, aż się rzuciłem. Wtem

wschodzi słońce; kszyki zrywają się z moczarów i krążąc, jedne beczą jak baranki, drugie przy ziemi czykoczą. Przyroda jakby na przyjęcie nasze przedstawiła faunę miejscową w całej okazałości. Czy dzisiaj są tam te lasy? Czy jest w nich tyle i tak różnorodnej zwierzyny?...

Zabieramy się już wracać do domu, gdy wtem spostrzegam kszyka, siedzącego na łozie i czyk, czyk, wabiącego swego baranka, który wyprawiał przeróżne ewolucye w powietrzu. Gdy na to jako na szczególny fenomen zwracam uwagę mego towarzysza, on mi na dębie, na samym wierzchołku, pokazuje drugiego, twierdząc, że już nie raz coś podobnego widział. Podchodzę tedy do owego na dębie, i strzelam — ale nadaremnie, poleciał i zaczął beczeć, jakby urągał z mego pudła*).

Geometra prowadzący pomiar, Jarocki, miał swoją realność niepodal od Batiatycz, z majątku Turynieckiego wydzieloną. Turynka z wielkimi obszarami lasu, z łąkami i jeziorami, miała dla zwierzostanu te same warunki, jak w Batiatyczach; pocieszałem się więc nadzieją, że po wylęgnięciu się ptactwa, podczas niedziel i świąt, na które zawsze cały nasz personal pomiarowy do domu zjeżdżał, będę tam miał królewskie polowanie z wyżłem. I w istocie, po św. Annie używałem rozkoszy w całem tego słowa znaczeniu. Strzelałem tam cietrzewie, cyranki i kszyki. Do krzyżowych kaczek nie strzelałem wcale, ażeby nie obciążać zbytecznie troków, gdyż przy całej tej rozrywce była to jedna niedogodność, że trzeba było do miejsca polowania z milę drogi iść pieszo, a więc i wracać tak daleko z trokami pełnymi zwierzyny.

Może niejeden z szanownych czytelników pomyśli, dlaczego chłopca do usługi nie brałem? Odpowiem, że dla adjunkta wyznaczał wprawdzie sąd jakieś dyety, lecz z temi dopiero po skończonym pomiarze można się było zobaczyć, tymczasem zaś chuda fara — jak to mówią — nie dozwalała na wydatki. Zwykle na tom polowaniu, przyszedłszy przed południem, zaczynałem od błot, na których do 4-tej godziny buszowałem, potem wychodziłem na garbki obfitujące w jagody, na które cietrzewie na żerowisko z swoich kryjówek wychodziły. Pies stawał do każdego, a ja strzelałem ich tylko tyle, aby troki dokompletować. Nieraz odchodząc pies stawał i całe stadko spędził, a do wieczora można było je zebrać, ale dla zbytniego obciążenia zostawiałem je niestrzelane.

W owej porze razu jednego wypadło mi być we Lwowie. Na wyjezdnem wieczorem ze Lwowa, gdym moje sprawunki pakował, włazi do stancyi żyd, handełes.

— Może pan kupi bardzo fajne i tanie szlafroki, kołdry, fajki, cybuchy...

— Idź precz, nie mam czasu — powiadam.

Ale żyd nie odchodzi i dalej recytuje:

— Może nici, tasiemki, szkarpetki, a może pantofle... — Mówiąc to podsunął mi pod oczy zielone, safianowe cichołazy. — Rarytne, prawdziwe wiedeńskie, sprzedam bardzo tanio, za półtora cwancygiera.

*) A propos beczenia tego, ponieważ przed paru laty długa polemika się w „Łowcu" ciągnęła, czyli kszyk owe beczenie swoje skrzydełkami, czyli gardziołkiem sprawia, a nie pamiętam jak tę zagadkę w końcu rozstrzygnięto, przeto pozwalam sobie stanowczo twierdzić, że skrzydełkami, co nawet praktycznie udowodnić zamierzam: Proszę do biczyska dwułokciowego przywiązać taką samą długość sznurka, a w końcu tego przytwierdzić dwucalowy odłupek gonta i tym narzędziem silnie w powietrzu w koło obracać, sprawi to burczenie podobne do kszykowego. Wirowanie bowiem gonta, przy silnym nacisku, podobne jest zupełnie wirowaniu skrzydełkami kszyka, gdy się spuszcza w dół i beczy. Tego eksperymentu nauczyłem się od pastuszków. Co się zaś tyczy krzyka na drzewie, proszę porównać relacyę p. S. W. w Nr. 3. „Łowca".

Rzuciłem okiem na pantofle i widzę, że są z grubego safianu, wewnątrz porządnie, miękko wyfutrowane. Wyglądały na bardzo trwałe, nieschodzone. Wpadam więc na myśl, że dodawszy do nich rzemyki lub tasiemki, aby do nogi na kształt apostolskich mogły być przybandażowane, dałoby się je wybornie użyć do polowania na błotach.

— Masz ryński szajny -- wyrwałem się i kupiłem.

Cieszył mnie ten amplet, bo w chodakach nie zawsze było wygodnie chodzić i przez drogę obmyśliłem sposób umontowania nowych pantofli.

W następną niedzielę wybieram się więc na polowanie aż do błot w bucikach, a tam, przytrokowawszy je do torby, ubrałem owe pantofle. Lubowałem sobie, co to za wygodne chodzenie! Noga jak w poduszce, nigdy tak wybornego obuwia nie miałem! Chodzę tedy żwawo, strzelam jak Kuszel, wtem — może po godzinie — uczuwam jakąś zmianę. Schylam się i z przerażeniem spostrzegam, że pantofle się rozłażą, bo nie były jak się pokazało szyte, tylko sklejone.

A niechże cię piorun trzaśnie! zakląłem żydowi i pantoflom. Siadam i szczepiam je jak mogę do kupy, lecz po kwadransie znowu oblatują. Desperacya mnie bierze, bo boso chodzić po błotach nie podobna, a bucików do tego nie użyję, gdyż innej pary nie miałem. Jeszcze więc ostateczna rada: drę chustkę na tasiemki i obwiązawszy niemi po wierzchu wzdłuż i w poprzek pantofle, dopełniam ledwie nie ledwie, w połowie bosy w połowie ubrany, zwykłego kontyngensu zwierzyny błotnej. Nogi swoją drogą pokaleczyłem sobie uczciwie. Rzuciwszy nareszcie przeklęte pantofle, składające się z kilkunastu kawałków, w błoto, ubrałem buciki i wyszedłem na suche garbki na cietrzewie. Jak zwykle, nie długo buszując, zastrzeliłem kilka sztuk i z tem rozpocząłem odwrót do domu.

Ten odwrót, pamiętny mi do dnia dzisiejszego, był, jak mi się zdawało, stokroć przykrzejszy niż rejterada z pod Boremla po bitwie, w której brałem udział jako piechur. Buciki dolegały mi do pokaleczonych nóg, troki ze zwierzyną przygniatały ramię, a tu osłabłem, w części ze zmęczenia, a więcej jeszcze jak mi się zdaje z głodu, gdyż kawałek chleba wzięty do torby spożyłem jeszcze przed rozpoczęciem polowania. Podobny obraz przedstawiał i mój biedny Hektor: boki mu się pozapadały i kulejąc ledwie wlókł się za nogą.

Dotarłem nareszcie do murowanego gościńca, przy którym stała karczma. Karczma! A tu ani centa w kieszeni. Kieliszek wódki i kawałek chleba dodałby mi siły, ażeby do domu, jeszcze ćwierć mili oddalonego, się dowlec. Złażę w rów ciągnący się przy gościńcu, ażeby wygodnie usiąść i odpocząć, wtem uczuwam znowu, ciągle podczas całej peregrynacyi powtarzające się, dotkliwe naciskanie jednego rogu poły od surduta do nogi nad kolanem. Zniecierpliwiony biorę połę do ręki, macam i czuję, że się tam coś twardego znajduje. Odpruwam więc podszewkę scyzorykiem, żeby dokuczliwy ów przedmiot wyrzucić, a tu — o dziwo! — znajduję srebrnego cwancygiera. Victoria! — pomyślałem — dobrze mówi przysłowie: *Wo die Noth am höchsten, dort ist Gott am nächsten!*

Zkąd i jak się tam cwancygier dostał, nie zastanawiałem się ani chwili, lecz wstępuję do karczmy i każę dać wódki, chleba, masła i garnek cały mleka podsiadłego ze śmietaną. Uraczyliśmy się porządnie z Hektorem, potem nastąpił obrachunek: wódka 2 krajcary szajne, masło 2, spory bochenek chleba 4, garnek mleka ze śmietaną 4 — razem 12 krajcarów szajnych; otrzymałem reszty 38 krajcarów. Że posiłek bardzo smakował, nie potrzebuję chyba dodawać. Kieliszek wódki był tak spory, że po wypiciu zmęczenie zu-

pełnie ustąpiło i dobry humor z fantazyą wróciły. Poznałem wtedy na sobie, dlaczego nasz chłopek z takim gustem wódkę pije, a nawet czasem i miarkę przebierze.

Po małym wypoczynku w karczmie, wracając z dobrą fantazyą do domu, zacząłem dopiero rozmyślać nad owym cwancygierem, w tak krytycznem dla mnie położeniu znalezionym. Chociaż w duchu westchnąłem nieraz do wszystkich Świętych, by mi sił dodawali, gdym już prawdziwie ustawał w drodze, wracając z owego polowania, i jakkolwiek wierzę, że istnieje Opatrzność, która się człowiekiem opiekuje i w chwilach dla niego krytycznych przychodzi z pomocą — czego doświadczyłem także w bitwach pod Iłżą i Lipskiem w r. 1831, gdy prawdziwie cudem od śmierci lub niewoli zostałem wyratowany — mimo to jednak dopuścić nie mogłem, żeby Opatrzność bezpośrednio cwancygiery do kieszeni komuś wkładać raczyła. Dopiero po dłuższem rozmyślaniu nad tem zdarzeniem, przyszedłem do następującego rozwiązania tej zagadki:

Przed więcej niż rokiem odwiedziłem pewnego razu kolegę mego z r. 1831, Strusa, w Milatynie. Łączyło mnie z nim powinowactwo przez ożenienie się jego z moją siostrą cioteczną. Radzi z mego przybycia, ugaszczali mię czem mogli. Z kolegą bawiliśmy się przypominaniem sobie różnych epizodów wojskowych, świeżo nam w pamięci stojących, bo to był rok 1834 lub 1835, albo też mówiliśmy o polowaniach, bo i on był namiętnym myśliwym. Siostra zaś prezentowała mi swoje najważniejsze nabytki nowego gospodarstwa: dwie małe córeczki. Starsza już łaziła, a z młodszą na rękach siadła obok mnie na kanapie przy oknie.

— Patrz! jaka moja Henrysia ładna, ma dopiero ośm miesięcy. A jakie to mądre i dobre dziecko...

— Prześliczne — odpowiadam, ale nieznacznie usuwam się na bok, bo zawsze mam respekt przed tak niemowlęcem sąsiedztwem.

Śmiała się siostra ze mnie i zaręczając, że żadna ewentualność nie nastąpi, postawiła dziecko obok mnie na nóżki, które, trzymając się jedną rączką kanapy, w drugiej mając cwancygiera dla zabawki mu danego, patrzyło w okno. Wtem, jak sobie przypomniałem, dziecko gdzieś cwancygiera zapodziało. Siostra kazała dziewczynie pod kanapą patrzyć, a ja, ażeby im ułatwić poszukiwanie, ustąpiłem się. Konkluzya poszukiwania była taka, że miano rozpruć obicie kanapki, bo tam, zdawało się, przez szparę zalecieć musiał ów cwancygier. Tymczasem jak się teraz okazało, cwancygier, wypuszczony z rączek dziecka, wpadł do mojej bocznej kieszeni od surduta, a znalazłszy tam dziurę, zaleciał między podszewkę i przez czas zesunął się aż w sam róg poły. Mała Henrysia więc była owym aniołkiem opatrzności, który mi przyszedł z pomocą w tak stósownej chwili.

Nie zapomnę jej tego — pomyślałem.

Później, zdybawszy się z siostrą, opowiedziałem jej ową historyę dodając:

— Pamiętaj, gdy będziesz Henrysię za mąż wydawała, przyjedź z nią do mnie, gdziekolwiekbądź będę, ażebym popatrzył, czy pięknie wyrosła, a przytem na wesele pobłogosławił i dał wyprawę.

Wtenczas gdym to mówił, byłem biednym jak turecki święty, a przecież Pan Bóg dopomógł, że w Jaryczowie w r. 1866 słowa dotrzymałem.

Z psiarni, pola i kniei.

Nowela

Adolfa Dygasińskiego.

I.

W Sokołówce, o parę mil od Łukowa, mieszkał kiedyś niejaki pan Wacław Nabłocki; był to człowiek bezżenny, a żenić się nie myślał.

Pochodził on z dobrego rodu i mógłby był śmiało uderzyć w konkury do którejbądź posażnej panny w okolicy, bo przecież mu się wiodło jako tako, a przytem miał powierzchowność chwacką. Wysoki, barczysty, blondyn z szafirowemi oczyma, z wąsem rycerskim i brodą gęstą, liczył trzydzieści trzy lat życia. Miał jedną wadę: nie umiał mówić, a wszystkie panny w okolicy były wysoko kształcone i bardzo gadatliwe. Co gdzie pojechać, zaraz mowa o literaturze, o nauce, o sztukach pięknych... Nabłocki nigdy nie czytał żadnej książki, oprócz niektórych poezyj i urywków z wypisów nieboszczyka Łyszkowskiego, a czytał to z musu za owych czasów, kiedy był jeszcze uczniem instytutu szlacheckiego.

Ta literatura, troskliwie uprawiana w sąsiedztwach, tak nareszcie dogryzła panu Wacławowi, że postanowił raz kupić sobie jaką książkę i przeczytać ją całą od deski do deski. Rzeczywiście, będąc raz w Łukowie, przy sposobności kupił „Historyę o bladej dziewczynie“; spodobał mu się tytuł. Ale pół roku się zbierał na odczytanie tego dzieła i planu nie urzeczywistnił. Ulubiony bowiem pies jego, młody wyżełek Tyranek, będąc raz samotny w pokoju, dobrał się do „Historyi bladej dziewczyny“, wziął ją pomiędzy przednie łapy, położył się na ziemi i bardzo starannie porozrywał książkę, kosztującą coś około rubla. Kiedy Nabłocki wrócił do mieszkania, miał chęć obić Tyranka szpicrózgą, ale sobie pomyślał, że przecież psa bardziej lubi niż książkę. I tak szczątki „Historyi bladej dziewczyny“ przeszły do archiwum podręcznych gospodarskich potrzeb...

Sąsiedzi, obywatele w okolicy, byli też umysłowo nastrojeni znacznie wyżej, aniżeli Nabłocki. On nudził się tylko na każdej wizycie, słuchając rozmów o polityce, o postępowem gospodarstwie, amelioracyach itd. Zmierził sobie okolicę tem bardziej, że niejednokrotnie czuł różne przytyki, których mu nie szczędziły płci obie.

Pan Wacław był sam przez się człowiekiem oryginalnym, który zmarniał, ponieważ ludzie, urobieni przez książki, nie umieli ocenić jego wartości. Kochał on się przedewszystkiem w koniach, psach, łowach, w nadzwyczajnych wehikułach i w ubiorze, jakiegoby nikt inny nie ważył się nosić wbrew przyjętej etykiecie. Było to co widzieć, kiedy taki

Nabłocki jechał... Przerozmaite wózki kołodzieje miejscowi wykonywali według jego własnego pomysłu. Jeden np. taki wehikuł odznaczał się bardzo wysoko wzniesionym kozłem, gdy tył tego pojazdu miał położenie niskie, prawie przy ziemi. Sam pan siedział zawsze na koźle i powoził, na głównem zaś siedzeniu, na spodzie wysiadywał wtedy ośmnastoletni chłopak Michałek, bardzo cudacznie ubrany, a obok niego psy — wyżeł, para jamników, ogary.

Nabłocki nosił na sobie zwykle jasno-zieloną kurtkę, zapinaną ukośnie od ramienia na białe, świecące, jak talary guzy. Nogi ubierał w ciemno-żółte zamszowe spodnie i w buty z cholewami powyżej kolan; na głowie miał szafirową czapeczkę z daszkiem zadartym do góry, jak ptasi ogonek; nadto na grubych czerwonych sznurach przewieszał przez ramię trąbkę, na której wygrywał przepysznie. Tak go nieraz można było spotkać jadącego na drodze pomiędzy Łukowem a Sokołówką. Konie też dobierał sobie nadzwyczajnej maści — dziwaczne jakie srokacze lub deresze i morengowate bułanki; jeżeli zaś już znikąd nie mógł wytrzasnąć osobliwej jakiej maści, tedy kasztanom albo gniadoszom podmalowywał przeróżne łaty i żółte lub nawet ciemno-granatowe grzywy, oraz ogony. Cała uprząż na koniach miała również styl bardzo niezwykły.

Zresztą, pan Wacław, choć się nawet sam ubrał tak jak inni ludzie, jadąc z wizytą, zawsze i tak odbijał od reszty sąsiadów obywateli, bo był oryginalnym w rozmowie, w całem obejściu. Siedząc przy stole, lubił się opierać na obu łokciach, przyczem oryginalnie zakładał nogę na nogę, tak, że kolano sięgało niemal brody. Cokolwiekbądź kto mówił, on od czasu do czasu charakterystycznie się odzywał: — „Ecc?“ — jakby chciał zapytać: „Czy to aby prawda?“

— Rura ten Nabłocki! — mawiali panowie sąsiedzi.

Panie ciągle sobie o nim opowiadały, drwiąc z niego, przypinając mu różne łatki i ubolewając, że człowiek z dobrej familii jakby nie istniał dla sąsiedztwa; naturalnie, o Nabłockim krążyło po okolicy pełno anegdot, ułożonych przez osoby dowcipne.

W Sokołówce, dziedzicznej wsi pana Wacława, był okazały dwór staroszlachecki, drewniany, modrzewiowy, o licznych komnatach. Ale dziedzic zajmował tu zaledwie dwa pokoje, a w reszcie mieszkania były lamusy na uprząż, lazarety dla chorych psów i pomieszczenie dla różnych ludzi, którzy niewiadomo z jakiego powodu przebywali w Sokołówce. Ci ludzie bowiem nie byli to wcale oficyaliści, pełniący jakieś oznaczone obowiązki, ale — miłośnicy łowów. Nabłocki szanował tylko dobrych myśliwych i starał się zawsze o ich towarzystwo; ile razy więc zdarzył się jakiś włóczykij, to już, byleby celnie strzelał, a znał się na tresowaniu psów i koni, mógł siedzieć w Sokołówce, dopóki sam zechciał.

Do rzędu takich rezydentów należał Bartłomiej Przetkała, chłop z siłą niedźwiedzia, wyborny strzelec i zapamiętały myśliwy, który, byleby miał w torbie wódkę, kawałek słoniny i chleba, mógł w kniei całe życie przesiedzieć. Innym domownikiem tego samego gatunku był Mateusz Krzykalski, eksekonom ze sąsiedniej wsi Piszczany, także znakomity strzelec, a przytem łgarz i próżniak. Bonifacy Skóra, albo jak go krótko nazywano — Bonek, był w Sokołówce jeneralnym totumfackim; w razie potrzeby zastępował on ekonoma, karbowego, lokaja, nawet kucharza. W nieobecności Nabłockiego, Bonek brał na siebie rolę pana dziedzica i wszyscy go słuchali. Inną ważną figurą był tu Michałek, psiarczyk, masztalerz, dojeżdżacz; ten młokos dzielił z panem swoim wszystkie przygody po za domem.

II.

We dworze Nabłockiego żyła gromada psów...

Był tutaj czarny jak kruk ponter; siartka połyskiwała na nim prześlicznie, bystre oczy jaśniały inteligencyą swego rodzaju. Zwierzę liczyło cztery lata życia i, jak przystoi na takiego psiego młodzieńca, odznaczało się wybornym humorem, ochoczością. Kiedy Aztek wypadł z domu, hasał rączo, wyskakiwał ucieśnie; czasem pogonił źrebaka, chwycił za ucho jakie prosię, popędził za kurą, która, będąc najniespodziewaniej napadniętą, porywała się na skrzydła i uciekała. W tych zapędach swoich pies oglądał się jednak nieraz na swego pana, aby z jego oczu i postawy wyczytać, co on też myśli o takich psich figlach. Nabłocki często wydawał rozkaz krótko brzmiący: „pst“!... I to wystarczało, ażeby Aztek zaniechał swawoli.

Zanim wyżeł ten doszedł do godności poufalca swego pana, stanowisko to zajmowała przedtem wyżlica Dyanka, która obecnie straciła łaski. Dojrzewający w lata i mądrość Tyranek, szczeniak psujący wszystko, co mu pod zęby popadło, miał z czasem wyrugować Azteka z pańskiego serca. Dymisyonowaną Dyankę protegował mocno Krzykalski. Suka ta, pochodząca z rasy ceterów, była wzorem rygoru i psiej przyzwoitości; zapalała się dopiero w polu, a w wodę szła jak ryba. Poważne myśliwskie zadania życia były dla niej wszystkiem.

Aztek miał krew gorącą, ogromny temperament, graniczący z burzliwością. Dyanka była jak stary żołnierz, który znakomicie umie na pamięć cały regulamin i stosuje się do niego literalnie. Aztek więc częstokroć zanadto się unosił, wykonywał napróżno i z małą rozwagą mnóstwo niepotrzebnych ruchów; czasem w zbytecznym zapale wypłoszył zwierzynę, a inną razą stawał do skowronka jak do zająca. Dyance nigdy się to nie przytrafiło; kręcąc ogonem kiściastym i wietrząc, szła ona zawsze z taktem i nieocenionem umiarkowaniem. Pomimo zalet, spowszechniała Nabłockiemu, który lubił rozmaitość. Na szczęście, Krzykalski nie pozwolił, aby się jej talent przedwcześnie zmarnował.

Istniała też w Sokołówce rodzina jamników, której głowami byli: ojciec Czuch i matka Dynda; młodzież wyszła z tego pokolenia nie miała jeszcze nazwisk... I Czuch i Dynda nie różniły się między sobą ubarwieniem, ale tylko fizyognomiami i obyczajem. Głowa płci męskiej miała wyraz twarzy zuchwały, lecz otwarty i sympatyczny, pełen pogody i zadowolenia. Dynda natomiast miała pełno zmarszczków, mrużyła ciągle oczyma, z których przeglądał kwaśny humor i złośliwość; głowę miała znacznie większą od swego małżonka. Oboje byli czarni, podpalani na podgardlu i piersiach, nosili też około oczu czerwonawe okulary.

Tradycya obciążała Dyndę zbrodnią dzieciobójstwa... Tak jest, po dwakroć dopuściła się ona kannibalizmu na własnem potomstwie, w skutek czego, gdy po raz trzeci została matką, nałożono jej na usta kaganiec. Mogła więc teraz wszystkimi zmysłami kochać swe dzieci, z wyjątkiem zmysłu smaku.

Bartłomiej Przetkała, wielki łowca z jamnikami, zwykle zabierał tę parę psów na sforkę, a wziąwszy nadto flaszkę wódki, trochę chleba i słoniny, chadzał na cały dzień do lasu. Często nic nie zabił, wypił tylko wódkę, zjadł przekąskę i wyspał się w lesie. Zawsze jednak dowodził, że nie ma jak polowanie z jamnikami.

— Z jamnikami — mawiał — pójdę na lisa, na zająca, na sarnę, dzika nawet osadzę...

Albo znowu:

— Jamnik, mosterdzieju, to żyła! gdzie do tego ogarom, wyżłom...

Krzykalski tylko mrugał oczyma, przytykając w gardło palcami na znak, że Przetkała nie tyle polowanie z jamnikami, ile wódkę w lesie pić lubi. Nabłocki uśmiechał się lekko, bo dobrze wiedział o tym nałogu do spirytusu.

A z tem wszystkiem Przetkała był jedynym rzetelnym myśliwym w Sokołówce; przepadał za życiem w boru, ziewał i nudził się w domu. Artysta ten, strzelał po pijanemu jeszcze celniej, niż będąc trzeźwym. Jako prawdziwy łowiec starego autoramentu, Bartłomiej miał surowy pogląd na myśliwstwo: pies czy człowiek, jeżeli nie odpowiadał zadaniom sztuki, nie zasługiwał na najmniejsze względy; można mu było „sprawić mydło“, jeżeli już w łeb nie strzelić.

Pomimo takiej srogości przekonań, Czuch i Dynda, skoro je tylko ze sfory puszczono w krzaki, przestawały patrzeć na Przetkałę, jak na swego zwierzchnika; bo psy te były jeszcze w wyższym stopniu myśliwe, aniżeli Bartłomiej. Nie pomagały żadne głosy komendy, gwizdania, upominania, przekleństwa, nie skutkowały kije straszne; zwierzęta zdawały sobie z tego wszystkiego nic a nic nie robić. Jeszcze Czuch jako tako; on w zapale myśliwskim widocznie czasem przypominał sobie otrzymane dawniej plagi i zatrzymywał się, słysząc gromowy głos Przetkały. Ale cóż, kiedy Dynda była niepowstrzymaną i demoralizujący wpływ wywierała na swego małżonka.

Postrzelił był raz w boru Bartłomiej zająca, jamniki poszły za ranioną ofiarą; poszedł i on — szedł za farbą blisko pół godziny. Cóż zobaczył? Oto Czuch i Dynda zjadły zająca do szczętu, zjadły tak porządnie, że na biesiadniczym ich stole zostało tylko trochę turzycy i farby. Oba psy leżały najspokojniej w świecie, oblizując się po uczcie.

Straszne były następstwa gniewu Przetkały; każdy z jamników po kolei odebrał okrutne lanie, baty w całem znaczeniu tego wyrazu; bił a upominał:

— A nie rusz, nie żrej, kiedy niewolno, pogańska duszo!

I nosy im wycierał o miejsce, na którem zjadły postrzelonego zająca.

Gwałt z tego był w lesie ogromny, Czuch i Dynda ubolewały prawie że ludzkim płaczem, a echo roznosiło daleko ich skargi, co zapewne nie jedno dzikie zwierzę musiało słyszeć.

Kiedy Przetkała wrócił do domu z psami tak strasznie zbitymi, Michałek właśnie odbywał akt żywienia psiarni i oba jamniki z zapalczywością rzuciły się do wieczerzy.

— To juchy twarde!... — rzekł Bartłomiej. — Żebym tak człowiekowi wysuszył skórę, toby miesiąc wyleżał i nijakiej nie tknął wary!... Krew dobra, z ogniem!

Niemniej w cztery tygodnie potem, jamniki znowu zjadły połowę postrzelonego warchlaka, co im również nie uszło płazem, a swoją drogą nic a nic nie skutkowało. Przetkała i teraz zbił psy na kwaśne jabłko, a do Nabłockiego powiedział:

— Takie mądre psie mięso, człowiekowi chce dać naukę, żeby się wystrzegał postrzelania, jeno na miejscu uśmiercił każdego zwierza.

Bartłomiej sądził, że jamniki udzielały po swojemu lekcyi celnego strzelania; bardzo być może, iż go to oburzało, stary myśliwy był zarozumiały, od nikogo nauk nie przyjmował, cóż dopiero od jamników.

Nareszcie Przetkała wpadł na myśl urządzenia mieszanego polowania — z jamnikami i z jednym ogarem. W tym celu dobrał on Czuchowi i Dyndzie za towarzysza, kontrolera i nadzorcę ogromnie mądrego ogara Dudę. Ów Duda miał w głowie moc rozumu na wszystko, czego tylko myśliwy człowiek mógł sobie od niego życzyć; w pogoni za zwierzyną, nie mógł jamników wyprzedzić, ponieważ mu brakowało tylnej nogi, którą utracił w walce z dzikiem. Był to piękny pies z obwisłemi uszyma i wargami, a ze zbójeckim wyrazem w wyłupiastych oczach; ubarwienie miał niewyraźne, ryże, podobne nieco do lisiego, z płowemi okularami przy oczach. Pomimo braku nogi, Dudę uważano za wodza ogarów, których liczba w Sokołówce różnemi laty chwiała się między 5-cioma, 6-cioma a 7-oma, a to z powodu awanturniczych przygód życia łowieckiego. Po nim dopiero słynęła ogarzyca Śmieszka, po Śmieszce Hałas, po Hałasie Kwiczał, Rybka, Wrona. Otóż Duda, będąc dodany jamnikom za strażnika, w razie jakiejś niestósownej zachcianki z ich strony, bez ceremonii brał za kark Czucha czy Dyndę i rzucał o ziemię. Z początku para jamników zabrała się do Dudy w tem przekonaniu, że i takiemu można dać radę; ale źle im poszło, bo Duda okrutnie poturbował parę małżonków. Kładł on się przy poległej zwierzynie, tknąć jej nie pozwalał i czekał na przybycie Przetkały.

Być może, iż tajemnie wtedy w umyśle rozważał rozkosz legalnego pożywania patrochów, oraz zajęczych skoków, które zwykle w nagrodę za cnotę wierności otrzymał od Bartłomieja...

Oprócz wspomnianych wyżej gatunków, rodziły się, żyły i umierały w Sokołówce jeszcze charty, a było ich pięć, podzielonych na dwie rodziny: trzy duże, morengowate, kudłate nieco i z kiściastymi ogonami, a dwa mniejsze — czarne.

Czoło chartów stanowił Chyc, pies barwy szarej, pręgowany jak zebra, mający wzrok bystry i nogi bardzo lotne; dopóki stał na polu, wyglądał jak źrebię, ale kiedy się puścił w pogoń za szarakiem lub lisem, sprawiał wrażenie dzikiego gołębia, lecącego tuż nad ścierniskiem, albo ugorem. Chyc miał w charakterze swoim dużo zuchwalstwa, nieuległości i zupełny brak miłości bliźniego. Jeżeli tylko zdołał dopaść psa jakiego, zaraz brał z góry za kark, rzucał o ziemię, a potem gryzł i szarpał, gdzie mu się podobało. Względem ludzi też nie okazywał bynajmniej szczególnego przywiązania... Małżonka jego Lotka zdała się ślepo być posłuszną mężowi i uznawać jego wyższość; w czasie obiadu czy wieczerzy dopóty nie śmiała przystąpić do stołu, przy którym Chyc się posilał, dopóki go Michałek nie odpędził harapem. Syn tej pary, Orlik, wykapany tatuś, był jedynym psem, który nietylko opór stawiał własnemu ojcu, ale widocznie zdążał do odebrania mu palmy pierwszeństwa w psiarni. Na łowach jeszcze go nie przewyższał w biegu, lecz w zwykłem pożyciu okazywał animusz pełen buty. Orlik zawsze miał odwagę zasiadać do jednej miski z ojcem, a podczas pochłaniania owsianej ospy, sparzonej rosołem z baranich nóżek, śmiał z przed nosa Chycowi porywać pożywienie. Skarcony ojcowskim zębem, nie kładł łyżki na bok i nie odchodził, jak Lotka, lecz ze strasznem warczeniem odpłacał panu ojcu policzkiem za policzek. Niekiedy też ojciec ze synem do spółki rzucali się na Lotkę, przewracali ją do góry nogami i bili okrutnie. Dramata rodzinne i międzyplemienne były w Sokołówce na porządku dziennym. Tylko jeden Michałek z całą dokładnością mógłby opowiedzieć, ile się tam krwi przelało...

Nareszcie pod nazwą „pijawek“ w psiarni Nabłockiego rozumiano cztery psy mieszańce, strasznie cięte, które stanowiły nocną straż około domu, a w razie potrzeby musiały chodzić do lasu, jeśli wypadło polowanie na dzika. Rej wodził tutaj Bas, który łączył temperament buldoga z mądrą przezornością chłopskiego kundla, dzięki czemu z łowów wracał zawsze bez szwanku, a u myśliwych miał wielkie łaski. Wprost przeciwnie miały się rzeczy z jego towarzyszem Rzezakiem, który z powodu rycerskiego ducha prawie po każdem polowaniu na dziki szedł do lazaretu w celu przeprowadzenia kuracyi. On to i suka Frajerka zawsze we wstępnym boju rzucały się zajadle nawet na największego odyńca i zaraz potem przynajmniej jedno z nich, jako ranne, musiało schodzić z placu bitwy. Tymczasem Bas, istny Ulisses, inną miał taktykę; krążył on dokoła dzika, jak planeta koło słońca, i szczekał z tonu najgrubszego, co właśnie odyńca doprowadzało do rozpaczy. Psy inne zawsze odjadały inwalida Rzezaka, osłabionego przez liczne kuracye i operacye, musiał więc pies ten żyć w sposób mniej legalny, krótko mówiąc, wyszedł na złodzieja. Gdzież miał kraść, jak nie w kuchni, owem źródle środków utrzymania ludzkiego i zwierzęcego życia? Takich psów jest pełno na świecie. Płeć żeńska, której przeznaczeniem jest odradzać i odkarmiać rodzaj ludzki, znienawidziła Rzezaka, ponieważ nietylko, że z garnków wyjadał, ale nadto nieraz i rozbijał garnki. Chory i biedny, prześladowany nie przestał być walecznym...

III.

Michałkowi rozkazywali wszyscy ludzie w Sokołówce; nie jednego on miał pana, lecz każdy uważał się za prawomocnego dawać chłopakowi zlecenia i pilnować ich wykonania.

Żywienie psów i cała opieka nad nimi polegały wyłącznie na głowie Michałka, a nie małe to były rzeczy.

Co się tyczy karmienia psiarni istniały na dworze Nabłockiego dwa stronnictwa. Krzykalski dowodził, że psy powinny jadać owsianą ospę, parzoną we wrzącej wodzie i kraszoną łojem. Ale Przetkała, człowiek absolutny i nie lubiący Krzykalskiego, wydawał Michałkowi rozkazy inne; mianowicie też polecił mu tłuc w stępie baranie nóżki, gotować z nich rosół i rosołem zaparzać już to owsianą, już jęczmienną ospę naprzemian. Od czasu do czasu wybuchały z tego powodu niemiłe zajścia, a sam dziedzic Sokołówki stawał już to po stronie Przetkały, już Krzykalskiego.

W lecie dostawały psy po porcyi kwaśnego mleka, a sześciotygodniowe szczenięta, po odsadzeniu od macierzyńskiej piersi, karmiono kluskami ze słodkiem mlekiem jeszcze przez parę miesięcy. O tem wszystkiem Michałek musiał pamiętać. Prócz tego na głowie chłopaka leżało obsługiwanie myśliwych, przyrządzanie rozmaitych obwłóczek i przynęt. Jeżeli się Krzykalskiemu zachciało tłuc lisy, Michałek musiał przedtem polować na koty, zabijać je, obdzierać ze skóry, piec na rożnie z leszczyny, zachowując wszelkie przepisy, których się Krzykalski trzymał w takich razach.

Na polowania Michałek wiódł ze sobą ogary lub „pijawki“, a podczas samego aktu karmienia psów musiał on sumiennie pilnować, aby się któremu zwierzęciu nie zrobiła za wielka krzywda.

W psiarni musiała być codziennie świeża woda w korytach, a w psim lazarecie należało przestrzegać godzin podawania chorym osobnikom lekarstwa i zimową porą palić suto w piecu.

Letnią porą Michałek musiał dwa razy na tydzień wykąpać wszystkie psy w rzece, a nieustannie dbać, żeby wszędzie była świeża, dobra podściółka ze słomy.

Michałek stanowił uosobienie energii i pracowitości Kiedy psom dawał jeść, uzbrajał rękę ciętym harapnikiem. Prawie codziennie brały się ze sobą za bary: Duda i Hałas, Chyc i Orlik, Aztek i Dyanka, albo i jamniki; wybuchały wtedy straszne bijatyki o kawałek chleba, tak straszne, że im częstokroć nawet silne uderzenia harapnika kresu położyć nie mogły. Każdy czworonóg usiłował w jedzeniu wyprzedzić drugiego, stąd ponure mruki, warczenia, charkanie, odgryzanie się i dławienie. Drugi, nieobyty z takiemi sprawami, uciekłby z psiarni w przestrachu. Ale Michałek stał na posterunku z batem, dozorował, klął, wrzeszczał: „a zgoda, psie dusze!“ i w razie potrzeby bił winowajców gorliwie. Był to bardzo sprężysty, sumienny oficyalista.

Krępy, zwinny, silny i mądry, miał w dodatku prawą duszę i dobre serce; za Rzezaka srogo się nieraz zemścił na Basie i Frajerce... Ale gdy znowu obity przezeń pies jeść nie chciał i smutny legł gdzie w kącie, wtedy Michałkowi okrutny żal serce ściskał i zawsze się starał, aby jakąś ulgę przynieść strapionemu. Niekiedy, gdy nie mógł podołać nawałowi pracy, bezmyślnie, jakby szukając pociechy między zwierzętami, wchodził do psiarni, chwytał się obiema rękoma za głowę i postał tak przez chwilkę; psy, merdając ogonami, zbliżały się do niego i zaglądały mu w oczy. Pocieszało to chłopaka, wychodził i brał się do roboty.

Bywały chwile godowe, w których przez narodziny świat się wzbogacał ilością istot żywych. Michałek zaraz donosił panu o przybyłem na świat potomstwie. Wtedy sam Nabłocki, w towarzystwie Bartłomieja Przetkały, Mateusza Krzykalskiego, a nierzadko i Bonka Skóry, szli uroczyście do psiarni, aby postanowić, które szczenięta mają zostać na przychowek, a które trzeba utopić. Zarówno zaś zagłada szczeniąt, jak i chów wybranych obowiązywały Michałka. Chłopak zabierał w koszyk młodzież skazaną na utopienie; ale zanim poszedł nad rzekę, aby wykonać wyrok śmierci, obchodził po wsi chałupy i namawiał to gospodarzy, to gospodynie na chowanie piesków. Dlatego też w Sokołówce prawie każdy chłop miał przy chałupie dwa albo trzy psy, które, będąc obdarzone przez rodziców talentami łowieckimi, nie omieszkały na własną rękę urządzać polowań w domu i w lesie.

Przetkała i Krzykalski byli także w sporze co do tego punktu, które mianowicie szczenięta zasługiwały na chowanie. Krzykalski był zapalonym wyznawcą teoryi, że szczenięta z tak zwanymi wilczymi pazurami koniecznie należy zachowywać. Przetkała atoli drwił sobie z zasad tego rodzaju.

— Głupstwo!... — mówił — złapałem ja się nieraz już dobrze na tych wilczych pazurach... może to radzić taki tylko, co mu prawie do wróbli strzelać.

Krzykalski chował tymczasem obrazę honoru w kieszeń, ażeby przy sposobności mieć tem większy jankor do odwetu.

Bywały też wypadki, że matka, po wydaniu na świat potomstwa, odumierała, zostawiając sieroty; Michałek wówczas starał się usilnie, aby, o ile można, zastąpić dzieciom matkę.

Wprawdzie każdy się do psów wtrącał, ale tylko jeden Michałek był prawdziwym ich opiekunem, sędzią, monarchą; on jeden rzetelnie spełniał swój obowiązek w psiarni.

Bywały zdarzenia i takie, że szczenię już w pierwszych miesiącach życia budową ciała i umysłowemi zdolnościami zapowiadało psi geniusz, który w przyszłości miał je wznieść ponad tłumy psów pospolitych. Każdy z myśliwych pragnął wtedy nadać psu imię swego własnego pomysłu. Tak było ze synem Dudy i Rybki, młodym ogarowiczem, któremu przepowiadano złotą kartę w historyi psów łowczych. Pies ten, kiedy się urodził, miał ogromną głowę i bardzo grube nogi; w dalszym okresie swego dzieciństwa odgryzał braci i siostry od macierzyńskiego łona, a kiedy się nassał, jak bąk, sypiał przewybornie. Uwaga znawców zwróciła się od razu na tego psiaka, pełnego przyszłości. Krzykalski nadał mu nazwę najdzielniejszego psa, jakiego znał w życiu, Utrąc. Nie podobało się to Przetkale, mówił, że imię takie do niczego i przezwał go Turkiem... Ale Nabłocki nie chciał ani Utrąca, ani Turka, a z dawnych czasów, kiedy był jeszcze uczniem instytutu szlacheckiego, pamiętał nieco francuszczyzny i ogarkowi dał nazwę Markiza. Tymczasem Michałkowi nie podobało się żadne z tych nazwisk, a pieska polubił całem sercem i ochrzcił go po swojemu Obal.

Już i to stanowi dowód niemałej inteligencyi, że pies ów, jakkolwiek kto na niego zawołał, zawsze się poczuwał do obowiązku i stawał na apel... *(Ciąg dalszy nastąpi.)*

WŚRÓD POWODZI.

Kilka wspomnień.

Skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

Woda — to żywioł kapryśny i groźny dla wszystkiego co żyje. Kapryśny, gdy podrażniony wiosennem tajaniem śniegów, lub łzami deszczu, mruczy, szumi i huczy — groźny, gdy niesie zniszczenie i śmierć ludziom, plonom i zwierzętom tak swojskim, jak i dzikim. Życie wszystkiego, co przebywa w pobliżu rzek, zawisło wówczas od łaski tego żywiołu rozhukanego. Porwie w swe ramiona, zdusi i zetrze, zniszczy plony, role żwirem pokryje, a wyrwane z korzeniem drzewa choćby do morza zanosi.

Lecz nie o ludziach, ich trzodach lub plonach wspomnieć tu sobie przedsięwziąłem, tylko o zachowaniu się zwierzyny łownej w czasie powodzi.

Człowiek, mieniący się panem świata i żywiołów, w części już okiełznać zdołał burzliwy element wody, tak, iż czem raz mniej staje się dlań groźnym. Trzody, bezpieczne pod tarczą swych władców, nawet w tak groźnej chwili jak powódź nie uciekają się już do swego instynktu, bo tego nie potrzebują, a zresztą wskutek długoletniej niewoli całkowicie lub przeważnie instynkt swój zatraciły.

Przeciwnie rzecz się ma ze zwierzętami dziko żyjącemi. „Radźcie sobie same“, powiedziała do nich matka przyroda. Toż radzą sobie jak zdołają. A jakim sposobem, poznawszy nieco obyczaje zwierząt, opowiem.

Z wyjątkiem wodnego ptactwa, którego żywiołem jest woda, wydrom i norkom *(Foetorius lutreola)*, a w końcu bobrom nie groźne są takie powodzie; śród bałwanów czują się swobodne. Dla wszystkich innych gatunków zwierząt, tak ptaków jak ssaków, woda jest w ogóle wstrętną, bo zabójczą. W razie tylko ostatecznym, w ucieczce, widzieliśmy te zwierzęta rzucające się w bystre nurty wody. Unikać wszelkiej wilgoci, czując zgubne jej wpływy dla siebie, to jest najusilniejszem staraniem zwierząt wszystkich gatunków. Toż na siedziby, gniazda, obierają miejsca suche, najradziej wzgórkowate. Jednakowoż nie ma reguły bez wyjątków. Częstokroć rozumnie obmyślane te plany prosty niweczy przypadek. Bardzo obficie spadłe, a w dodatku raptownie topniejące śniegi, lub gwałtowne a długo trwające ulewy, nawidzają powodzią tak niżej jak i wyżej położone siedziby zwierząt dziko żyjących, zalewają „kotliny“ zajęcze, „ostoje“ sarn, „barłogi“ dzików, wilcze „legowiska“ i „nory“ czyli jamy lisie. Przewidzieć, czyli przeczuć, osobliwie wiosenną roztopę, a po niej powódź, przechodzi sferę najbystrzejszego nawet zwierzęcego instynktu. W takiej groźnej chwili, częstokroć po brzuchy brodząc, dążą zwierzęta ku miejscom jak najwyżej leżącym — szczęśliwe, jeśli je w czasie pochodu gwałtowne prądy nie porwą i nie zatopią. Spytajmy ludzi w pobliżu rzek mieszkających, ileż to razy na krach lodowych, pniach drzewnych, lub oderwiskach ziemnych, zdarzało im się widzieć środkiem wezbranych wód płynące wilki, sarny, lisy lub zające. Byli to uratowani szczęśliwcy, a ileż towarzyszy potonęło?...

Ciekawe zdarzenie z powodzi opowiadał mi 80-kilkuletni wieśniak ze wsi Holeszowa tuż nad Dniestrem.

„Będzie temu lat blisko sześćdziesiąt — mówił — ogromne spadły śniegi. Naraz z końcem zapust poczęło topnieć; puścił się deszcz, tak, iż w dwóch dobach „złamało“ lody na naszym Dniestrze. Co to się wonczas nie działo! Gdy jeszcze duża kra płynęła, na jednej z takich płyt, dużych jak chłopskie obejście, nadpłynęło stadko czterech sarn. Kra przypłynęła pod samą ot tam! wysoką „ostrowę“, ta i stanęła. Sarny, nie wiele myśląc, hyc na ostrowę i w krzaki łozowe i olchowe. Drugiego dnia, równie na krach płynąc, nadciągnęły dwa wilki. Jakież były pokorne! Psiawiary, nie czekając aż kra pod ostrowę podpłynie, buch w wodę. B a ł u! b a ł u! pomiędzy krami i dostały się na ostrowę.

„Ludzie po całych dniach gapili się nad Dniestrem, którego wody aż „stare koryto“ po samą wieś zajęły. Powódź trwała z tydzień, że nawet prom nie chodził. Pocisnął w końcu mróz, wody opadły, mówi mi ojciec:

— Ano Iwasiu, ładuj „korabel“ (tak zwie lud w tej okolicy czółna) popłyniemy na ostrowę zobaczyć, co się tam z sarnami i wilkami stało?

„Zabrawszy strzelby popłynęliśmy.

„Woda była jeszcze duża, toż niełatwa rzecz płynąć wązkiem choć długiem czółnem. W dodatku u obu dniestro-

wych brzegów i w około ostrowy uformował się był lód, że go aż wiosłami i drągami łamać było trzeba. Dobiliśmy się wreszcie do ostrowy, tak wysoko w pośrodku Dniestru leżącej, że nie było pamiętnika, żeby ją kiedy największa nawet powódź zalała. Była ona podłużna, miejscami porośnięta olszyną i łoziną, miejscami zaś były na niej halawki, na których latem pasały się gromadzkie konie. Ot, było tego wszystkiego ze dwa morgi. Mówi mi ojciec:

— Rozejdźmy się Iwasiu. Ty pójdziesz jednym brzegiem, a ja drugim. Co wyskoczy, sarna czy wilk, strzelaj.

„Kroczę tedy naprzód w największej cichości. Naraz poza krzakiem łozowym spostrzegam oba wilki; szarpały zajedzoną przez nich sarnę. Nic namyślając się wiele, strzeliłem. Trafiłem wilka w grzbiet, że aż „skoziołkował“ — a potem machnąwszy parę razy „polanem“, zginął. Drugie wilczysko uciekło w krzaki.

„Ojciec nadbieżał wnet ku mnie i pochwalił mój pierwszy w życiu strzał do wilka.

„Ruszyliśmy dalej buszując po gąszczach. Po drodze spotkaliśmy aż dwa miejsca zasłane siercią sarnią, co dowodziło, że wilki, parte głodem, z owych czterech trzy sarny już pożarły. Szukając dłuższy czas zbiegłego wilka, napotkaliśmy go nareszcie u samego skraju ostrowy, gdzie pod wymuloną olchą był przywarował. Ojciec strzałem w „miejsce“ ubił go.

„Wracając ku korablowi wypłoszyliśmy ową jedyną pozostałą sarnę. Była to „siuta“ i żal aż było patrzeć, jak to biedactwo schudło widocznie od strachu i braku dobrego żeru na ostrowie“.

Podobne wydarzenie opowiadał mi pewien obywatel, mieszkający w pobliżu Wisły. Powódź, zalewając znaczne przestrzenie, zalała tam i las, tak, że z wyjątkiem niewielkiego wzgórza, reszta stała głęboko w wodzie.

„Po kilku tygodniach — mówił mi ów znajomy — po zupełnem już opadnięciu wód, udałem się do owego lasku z leśniczym. I cóż spostrzegliśmy? Ślady odbytych „walk o byt“. Wrzała ona między lisami a zającami. Mnogie pobojowiska, zasłane „turzycą“ zajęczą, potwierdzały wyraźnie prawdę łacińskiej przypowieści: *Mors tua, vita mea.*“

Podróżnicy po Azyi mnogo podobnych wydarzeń opowiadają. W czasie peryodycznego w porze deszczowej wylewy Gangesu i innych rzek, zwierzęta, wiedząc z doświadczenia o nastąpić mającej groźnej chwili, co tchu wynoszą się do zarośli na wyżynach rosnących. Zwierzęta kociego rodu, jak lamparty, pantery i gepardy, wdrapują się na pnie drzew i czekają opadnięcia wód. Nieraz na rozłożystem drzewie spostrzegano po kilka gatunków zwierząt drapieżnych, częstokroć wspólnie z gromadą małp, które również przed powodzią tam się schroniły. Jeden dzień, dwa dni, dopóki tę różnorodną rzeszę przejmuje groza, a głód się czuć nie daje, panuje tam jak najlepsza zgoda. Lecz poczyna się panowanie większego niźli strach władcy — głodu. Gdy są w pobliżu inno-plemieńcy, oni padają najprzód ofiarą, lecz gdy tych wcale nie ma lub już nie stanie, natenczas poczyna się walka równo-plemieńców. Słabszego pożera mocniejszy. Przyrodzony wstręt do pożerania istot równoplemiennych niknie śród takich rozpaczliwych okoliczności.

Lecz cóż się dziwić zwierzętom? Przecież jak wiemy z opisów, rozbitki, ratując swe życie na łodziach, puściwszy się z małym zasobem żywności na szeroki ocean, spożywszy ostatni kęs suchara, ostatecznie po paru dniach strasznego głodu losem wybierają, kto ma ponieść śmierć i ciałem swoim ratować resztę towarzyszy od śmierci głodowej... Groźno-pięknie przedstawiają podobną chwilę słynny Kaulbach, w swym obrazie „Potop“, lub Doré, w swej ilustracyi do odnośnego ustępu w biblii. Na szczycie wzgórza, na niewielkiej zalanej wodą przestrzeni roi się od przeróżnych istot, które tam szukały ratunku. Pomiędzy gromadą zrozpaczonych ludzi leżą krwiożercze tygrysy, hyeny, szakale, nie mniej jak niewinne gazele, a nawet kilka w kłąb zwiniętych wężów. A wszystko w jak najlepszej zgodzie, prócz tych stworzeń, które z nurtów rzek się wynurzywszy, na stały ląd dostać się rade. Muszą one z szczęśliwcami walczyć na lądzie, zdobywać sobie każdą piędź ziemi na zbawczym pagórku.

Nawet człowiek walczyć musi ze zwierzęciem, które, choćby trwożliwe z natury, nie ustępuje dobrowolnie bezpiecznego miejsca.

Powódź zimowa lub o wczesnej wiośnie, mniej w zwierzostanie szkód czyni, niż tak zwane Świętojanki lub Jakubówki. W tej bowiem porze łąki, błota, pola, a nawet zarośla nisko leżące, pełne już piskląt ptasich i młodego zwierza. Wszystkie one jeszcze niedołężne, ni latać ni chodzić nie umiejąc, nie zdołają jak ich rodzice ujść niespodziewanej powodzi. Nikt by się nie spodziewał ile wylew płasko-brzegiej rzeki zwierzyny poniszczy; nie wyłączając nawet sarniątek, jeżeli je matka w nisko leżących zaroślach na świat wydała. Sarniątko, chociażby kilku-tygodniowe, więc już chodzące za matką, w razie katastrofy ulega w końcu pod nawałem wód. Słowem, kędy przejdzie w wielkiej masie ten groźny żywioł, tam częstokroć na długie lata powstaje jakby głucha, martwa puszcza.

KORESPONDENCYE.

Lwów 24. kwietnia 1888.

(Ochrona słonek.)

Wobec tylu rozpraw o słonkach, które zamieszczano w każdym roczniku „Łowca“, a szczególnie wobec wyczerpujących artykułów naszego patryarchy w łowiectwie hr. Kazimirza Wodzickiego, nie powinienbym już tej materyi poruszać, a tem mniej, ileże artykulik ten będzie musztardą po obiedzie, bo już i polowanie na słonki się skończyło; mam jednak nadzieję, że uwagi niniejsze pobudzą do traktowania tej sprawy w ciągu roku przez braci w św. Hubercie i może do przyszłego ciągu wiosennego słonek ustali się rozmaita dotychczas pod tym względem opinia.

Powodem do napisania niniejszej korespondencyi są co chwila słyszane wypadki spędzania słonek z jaj i zabijania masami tych biednych matek.

Oto przykład z własnego doświadczenia:

W dniu 7. bm. polowałem z nagonką na słonki. Z pod nóg wylatuje mi słonka; strzelić niepodobna, bo tuż stoją chłopaki — sąsiedzi strzelają do niej — ona uchodzi zdrowo.

Chłopak zaś naprzeciw mnie idący woła: „A o, jejci!“ Zbliżam się i znachodzę w istocie na gnieździe cztery jaja. W następnym miocie powtórzyła się ta sama historya. Wówczas zaprzestałem dalszego polowania z nagonką, i ograniczyłem się tylko do polowania na ciągu, straży zaś leśnej nakazałem, aby pilnowała i zdała mi relacyę o dalszych losach tych gniazd. Kucharz sprawiający słonki znachodził jaja wielkości orzecha włoskiego.

Wobec tych faktów zadałem sobie pytanie: Czy godzi się nam strzelać słonki na wiosnę przy nagonce lub na buszowanem?

Moje spostrzeżenia są nie pierwszemi i nie od dzisiaj. Zrobił je i ogłosił drukiem hr. K. Wodzicki w korespondencyi z 10. listopada 1878, w której powiada: „Już w marcu pojawiły się (słonki), a w drugiej połowie kwietnia strzelaliśmy z jajami lub z jaj spędzone słonki i zaprzestać musieliśmy dlatego polowania.“ W korespondencyi zaś z dn. 12. kwietnia 1882 mówi: „Przypominam sobie sprytnego naganiacza z rysim wzrokiem, który upatrzył słonkę, siedzącą wśród korzeni graba, uderzył ją patykiem i zabił. Miała cztery jaja, jak zawsze mocno zasiedziałe.“

„Ptasi filantropi (mówi hr. K. Wodzicki w monografii słonki w Nr. 7. „Łowca“ z r. 1886), broniący nam strzelania do słonek na wiosnę, nie znają miriadowej ilości wywodzących się tych ptaszków w Europie; dopiero na ciągu jesiennym zastanawiają rezultaty wykazywane z różnych krajów, z których można w przybliżeniu zestawić olbrzymi coroczny przybytek.“

Ten ustęp nie usprawiedliwia dalszego ustępu tej samej monografii, w którym powiedziano: „Musimy za ojczyznę słonki uważać miejscowość, w której rodzinę wychowuje, pobyt zaś pięciomiesięczny zimowy jako emigracyę.“

Wszystkiego stworzenia pożytecznego chronimy w czasie lęgu, odzywamy się do uczuć ludzkości, aby lęg ten wszystkimi możliwymi sposobami ochraniała, z wyjątkiem lęgu drapieżników; czyż i słonkę uważalibyśmy za takiego? Czyż za to, że ona czy to w zaufaniu do naszego honoru myśliwskiego, czyli też z przypadku kryje pod nasze skrzydła swe macierzyństwo, czyż ją za to mamy skazywać na śmierć?

Zabijać ją — mówią — bo jest ptakiem przelotnym, dzisiaj tu, jutro tam! Czy to racya, wobec okoliczności, że to jest jej czas lęgu, a obowiązkiem honorowym myśliwego jest lęg zwierząt pożytecznych ochraniać? Powie ktoś: Biliśmy dawniej tego ptaka, a nie wybiliśmy i zawsze w jednakowej masie do nas przylatuje. Biliśmy go dawniej, to prawda, lecz nie w takiej masie jak dzisiaj, i nie niszczyliśmy jego płodu; polowaliśmy na niego tylko na ciągu, a dopiero były generał Schlick wprowadził zwyczaj polowania z nagonkami.

Polowanie na słonki na wiosnę na ciągu ma swą racyę, dostarcza myśliwemu tyle pożądanej emocyi, która nie zużywa się, bo ciąg co najwięcej pół godziny trwa, a myśliwy ubija albo tylko samce lub też samice szukające oblubieńców, a więc celibatów, nie niepokoi zatem, lecz owszem chroni matki na jajach siedzące od wybijania ich wraz z płodem całemi masami. Gdyby zabicie matki przyniosło szkodę tylko jej samej, mniejsza o to, lecz szkoda ta jest pięciokrotną, boć ani lis, ani kuna nie wysiedzi opuszczonych jaj.

Stroną ujemną polowania z nagonką jest nietylko wyżej wykazana, ale także i ta, że zwierzyna po przebyciu ciężkich czasów zimowych, trapiona nietylko polowaniami zimowemi ale i ostrością zimy, cieszy się swobodą, zapomina o przebytych dla niej strasznych czasach, odżywa nowem życiem. A gdy taka np. kotna siuta usłyszy nagle hałas w lesie i przypomni sobie całą grozę minionych niedawno czasów — wynosi się stronami, wypłoszona, wraz z przyszłem potomstwem. Strata to zaiste znacznie większa, niż zysk z kilku lub kilkunastu słonek, ubitych z nagonką.

Jestem więc tego zdania, że nie należy niepokoić zwierzyny na wiosnę, a biednej słonce na gnieździe dać pożądany spokój, zaniechać zatem na wiosnę polowań z nagonkami i z psem, a ograniczyć się na strzelaniu ich na ciągu. Szczęśliwe matki słoncze, wypłacając się rycerskim myśliwym, wysiędą im potomstwo, które da im wiele przyjemności w jesieni tak w polowaniu z nagonkami, jak na buszowanego i na ciągu. *Czarkowski-Golejewski.*

Z pod Komarna w kwietniu.

(Ciąg słonek.)

Okolica nasza, pod względem obfitego zazwyczaj ciągu słonek, ma oddawna ustaloną dobrą reputacyę. Pierwsze słonki zjawiły się w tym roku około 28. marca. Ranny ciąg prawdopodobnie dla większego chłodu słabszym bywał niżli wieczorny. Przypuszczam, że nie mniej przyczynia się do tego obfitszy lub skąpszy żer dniowiska. Gdy słonki znajdą żer obfitszy, nie spieszą z odlotem, tylko 2, 3, a czasem i więcej dni przebywają na jednem miejscu, żerując i łącząc się w pary. Poczem ciągną dalej, aż znajdą „pieleszę“. Nie od dziś żyję, więc wielokrotnie zrobiłem to spostrzeżenie. W jesieni, po przedniowaniu, skoro tylko się zmroczy, w dalszą podróż wyruszają.

Ja do tej pory ubiłem sztuk 9. Pewnego dnia wchodzi do mej izby gajowy Mikołaj. Dodam, że w wielu względach uczciwy ten człowiek, w sprawach myśliwskich łże jak z nót. Wchodzi trzymając w ręku torebkę, w której coś się trzepotało.

— Panie — mówi — pan mi nie uwierzy, ale żeby mnie... że powiem prawdę. Wczoraj, dobrze już było ciemno, „moja“ poszła do chlewka, „co go pan wie“ — dźwirki jego wprost tej szerokiej linii, przez las. Naraz wpada coś drzwiami do chlewa i gasi świeczkę. Moja w krzyk — wpadam ja, a ona zębami dzwoniąc ze strachu powiada, że coś ogromnego wleciało. Zamykam drzwi, zapalam światło i ot —

Po tych słowach dobył z woreczka dwie żywe słonki. W samej rzeczy dziwny to przypadek. Słonki, osobliwie samce, w czasie zalotów, podobnie przysłowiowemu cietrzewiowi, „zacietrzewione“, zapędziwszy się za samką, lecą na oślep, co ich często o śmierć przyprawia. Ile ich o drzewa, słupy lub druty telegraficzne się rozbije!

Stary leśniczy.

Bilcze w maju 1888.

(Ciężka zima. — Zapiski łowieckie.)

Smutne wieści o przezimowaniu tegorocznem zwierzyny, umieszczone w „Łowcu“ z kilku okolic naszego kraju, dają nam wprawdzie niezupełny obraz ogólnej klęski, ale w każdym razie zasmucają zwolenników łowiectwa. Szczegółowe doniesienia z każdego zakątka byłyby bardzo pożądanemi, gdyż możnaby z całą stanowczością orzec o wielkości tej klęski, jako też o środkach zaradczych, których używano w celu złagodzenia tej klęski.

Odzywam się też w tym celu z południowo-zachodniego kresu naszego kraju, z Podola, aby i mojem doniesieniem przyczynić się do zaradzenia w przyszłości podobnym wypadkom, jak podczas tegorocznej zimy.

Podolska wyżyna wystawiona jest prawie w każdym roku na śnieżnice i zawieruchy. Tutaj dmie zawsze całą zimę wiatr od wschodu lub zachodu i niesie tumany śniegu, które tworzą zaspy. Drogi, prowadzące w kierunku od północy ku południowi, są tak zawiane śniegiem, że tworzą w każdym roku istne groble wysokości 1 do 2 metrów. Drogi prowadzące w tym kierunku, nazwano tutaj „poperecznemi“ i rozumieją przez to drogę zawianą, z wybojami, trudną do przebycia. Drogi w kierunku od wschodu ku zachodowi są w porównaniu z pierwszemi mniej zawiane i łatwiejsze do przebycia.

Powyższą wzmiankę uczyniłem w tym celu, aby wykazać, że my tu na stepie przywykli do mroźnych i zawiewnych zim, a pomimo tego, ostatnia zima była tak zawiewna, śnieżna i mroźna, że i najstarsi ludzie nie pamiętają podobnej.

W listopadzie dnia 12. mieliśmy pierwszy mróz — termometer wskazywał 1 stopień niżej zera — w dniu tym spadł pierwszy śnieg. Od tego dnia do 23. listopada wskazywał termometer skrajnych temperatur dla minimów od 1 do 13 stopni R. niżej zera, dla maximów zaś od 0 do 12 R. wyżej zera. Po 23. listopadzie nastały dni ciepłe i termometer wskazywał wyżej zera. Jak w listopadzie tak i w pierwszej połowie grudnia powietrze było łagodne i mieliśmy prawdziwie polską jesień. Od 20. grudnia zaczęła się śnieżyca z zawieruchą i mrozami, która trwała bez przerwy do 8. marca. Dnia 2. stycznia wskazywał termometer 27 niżej zera, a 2 marca 19 niżej zera. Śnieg padał co kilka dni, a przez całe te trzy miesiące wiatr pędził te śniegi, które opierały się o lasy, domy i płoty lub o ścianę jaru, pochyloną z kierunkiem wiatru.

Dnia 9. marca odetchnęliśmy swobodniej, słońce wychyliło się z za chmur i ogrzało ziemię, pokrytą grubą warstwą śniegu. Dnia 15. marca zaśpiewał skowronek, 17. okazała się pliszka, 19. kulik, 20. pierwszy raz błysło w północno-wschodniej stronie, 21. przybył bocian, 26. chrapała słonka, a 29. zakwitła leszczyna. Zatem raptownie od 9. marca przenieśliśmy się jakby w inną krainę cieplejszą.

Dnia 20. grudnia śnieg pokrywał ziemię na 1 meter wysokości; zwierzyna nie ruszała z kniei; sarna w pobliżu legowisk w drzewostanach rębnych objadała mech z drzew, a zając biedny zapadał się w śniegu, że mu słuchów widać nie było, zostawiając ślad, jakby pługiem przeorał w śniegu.

Lasy książąt Sapiehów na Podolu, oddane pod moją administracyę w obszarze 5.400 morgów, obfitują w liczną zwierzynę. Od lat 20. dokłada się tu wszelkich możliwych starań, aby zwierzostan, składający się przeważnie z zajęcy i sarn, utrzymać jak należy, pomimo klęsk klimatycznych, które często i groźnie po sobie następują. Sprawozdanie niniejsze tyczy się tylko zwierzyny w lasach, należących do dóbr Podolskich książąt Sapiehów. Od dnia 20. grudnia zaczęliśmy karmić zwierzynę, dając koniczynę w wiązankach dla zajęcy a w tryzubkach dla sarn. Nie pamiętam, aby zwierzyna tak szybko zjadała podawaną jej karmę, jak tej zimy. Wydaliśmy na karmę od 20. grudnia do 15. marca 120 cetnarów metrycznych koniczyny i 10 cetnarów metrycznych siana z soczewicy, a oprócz tego wyrębywano iwinę, którą zające obkorywały. W trzech rewirach stały zaś kopiaki z sianem, około których sarny zawsze widzieć można było.

Zwierzostan nasz składa około 300 sztuk sarn i około 800 zajęcy. Licząc potrzebę pożywienia 1 sarny tyle, ile potrzebują 8 zajęcy, okazuje się, że na jednę sarnę dano przez trzy miesiące 32$^1/_2$ kilogramów, a na jednego zająca 4 kilogramy paszy wyborowej, oprócz siana złożonego w kopiakach w lesie i wyrębywanej iwiny.

Karma ta kosztowała nas 200 zł., ale utrzymaliśmy zwierzynę w takim stanie, jakby przebyła zwykłą naszą zimę.

Przez całą zimę znaleziono tylko trzy zające nadszarpane przez orły, które gnieżdżą się w sąsiednich lasach i do nas na zdobycz przylatują.

Nie chcę wyrokować, że jedynie dawanie karmy ochroniło naszą zwierzynę od tegorocznej zagłady; bardzo być może, że nasza zwierzyna jest przyzwyczajoną do podobnych zim, jak była tegoroczna i przetrwać może podobne klęski. Podolska zwierzyna jest w ogóle większą i silniej zbudowaną aniżeli zwierzyna na zachodzie naszego kraju — zając nasz swą wielkością i szerokością grzbietu zwraca uwagę każdego, który pierwszy raz przybędzie do nas na polowanie z innych okolic; może być zatem, że konstytucya podolskiej zwierzyny przyczyniła się, iż my tak bardzo na tegoroczną klęskę uskarżać się nie możemy.

Parkoć zajęcy zaczęła się po 8. marcu, a młode zajączki pojawiły się w kwietniu. Śnieg, który spadł dosyć obficie w nocy z 6. na 7. kwietnia, stajał do południa następnego dnia.

W tym roku w lasach naszych nie polowaliśmy; ubito tylko 1 wilka, 2 żbiki, 18 lisów i sporą ilość ptactwa drapieżnego. *S. Piotrowski.*

Z Rytra (w powiecie Nowosądeckim).

(Ryś w żelazkach.)

„Ryś złapał się w żelazka, zerwał jednak łańcuch, na którym były upięte, i chodzi po ostępie, mimo że one za nim się włóczą, bo złapał się za przednią łapę!“

Z tą, dla każdego myśliwego miłą wiadomością, przybył do mnie leśniczy p. Brzozowski. Rozumie się samo przez się, że po takiej wieści nie miałem nic pilniejszego do zrobienia, jak natychmiast kazać zaprzęgać i jechać saniami do wskazanego lasu, żeby dostać srogiego, od lat kilku w zwierzostanie naszym znaczne szkody czyniącego rabusia.

Po całogodzinnej niemal, po głębokich śniegach trwającej podróży, stanęliśmy na miejscu. Po prawej od nas stronie w jarze szumiał potok górski. Po nad nami ciągnął się łańcuch gór, z wzniesieniem przeszło 1.200 metrów po nad poziom morza. Gdybyśmy na ich szczyt wstąpili, przedstawiłby się był oczom naszym uroczy widok około sześć mil oddalonych Tatr.

Przenoszę łaskawego czytelnika w głębie lasu karpackiego, u wschodniego stoku szczytnych Tatr, długim, ciemnym szlakiem się rysującego. Lecz nic, wracajmy do miejsc, po których ryś z żelazkami u nogi błądzi. Olbrzymie a gęsto zwarte jodły i buki otaczają nas w około; a kędy przeszła burza, druzgocąc w kawałki i na ziemię powalając olbrzymy, na „jasnych“ tych miejscach, buja „młodnik“ podszyty krzewami malin i borówek, pokrywając zarazem gnijące powalone kłody. Podobne miejsca dla utrudnionego

chodu omija człowiek, dlatego też, osobliwie latem, głęboka panuje tam cisza, tak pożądana dla zwierzyny „płowej“, która dla spokoju i obfitości żeru, ziół i jagód krzewów wyżej wymienionych, stałe w podobnych miejscach zakładają sobie ostoje.

Ryś ów snać poznał dobroć miejsca onego, więc od dłuższego czasu w niem przebywał. Powalone bowiem drzewa, gąszcz młodnika, malinnika i borównika, bujnie tam rosnących, wyborne dawał mu schronisko przed pogonią myśliwych. Kilkakrotnie też udawało się temu niecnocie ujść szczęśliwie przed obławą chłopów, tego roku albowiem kilkakrotnie za drapieżcami po kniejach buszowaliśmy. Rysie wychodziły na chłopów, ci uzbrojeni w lichc strzelby, które w dodatku zawodziły, albowiem słabe zamki kłapały tylko nie rozbijając pistonu, tem samem nie zapalały nabojów. Z kilkakrotnych takich obław wracaliśmy niestety z niczem. A straż leśna, zaraz wtórego dnia po obławach, napotykała rozszarpane przez rysiów sarny.

Uważając, że nad naszemi obławami jakieś *fatum* zaciążyło, postanowiliśmy ponastawiać żelazka, czyli „pastki“.

Ryś, podobnie jak inna zwierzyna łowna, skoro się go tylko nie płoszy, dłuższy czas w jednej ostoi przebywa, niemniej jednymi zwykł chodzić szlakami. Od pewnego czasu nie płoszono rzekomego rysia, więc nastawiliśmy żelazka na najulubieńszym jego szlaku. Wybór miejsca był szczęśliwy, po paru dniach złowił się w nie ryś. Rabuś ten po ułowieniu, snać z wielkiego bolu, wściekle targać sobą musiał, skoro wraz żelazkami, które silnie w nogę się wpiły, zerwał i łańcuch, którym do pnia były przytwierdzone; oderwał takowe i wraz z niemi próbował wdrapać się na pobliskiego buka i jodłę, o czem wyraźnie świadczyły głębokie zadarcia pazurami w korze. Rzecz zaprawdę ciekawa, jak zdołał ryś z żelazkami i łańcuchem wdrapać się na drzewo na kilkumetrową wysokość. Dowodzi to wielkiej wprawy, a właściwie przyrodzonego daru rysiów, do wdrapywania się po gładkich, ogołoconych z konarów pniach drzew. Ryś ujęty widoczne wielkich swych wysileń nosił na sobie ślady. Pazury bowiem wolnych trzech nóg jego były porozkłówane. Nie mniej musiał ryś i zębami próbować uwolnienia swej nogi z uścisków pastki, albowiem wszystkie cztery kły paszczy jego były skruszone, a na żelazkach uwidoczniało się rysami ich daremne usiłowanie. Ryś, skoro mu wdrapywanie się aż ku koronie drzewa nie udało się, a fatalnych żelazek żadnym sposobem pozbyć się nie mógł, począł rozpaczliwe bieganie po całym ostępie. Tropy, krwią mocno zafarbowane, wyraźnie świadczyły o jego szalonej gonitwie w około przez góry, jary i potoki i z powrotem tym samym szlakiem. Co najmniej ubieżał dwa kilometry, zliczając te wszystkie tam i z powrotem bieganiny.

Złapanie się rysia w żelazka zdarzyło się w poniedziałek zapustny, albowiem gdy gajowy udał się dnia tego w miejsce, gdzie zastawiono żelazka, już ich tam nie znalazł. Zaraz we wtorek nakazałem obławę, zbierając wszystkich myśliwych.

O ściganiu rysia mowy być nie mogło, umyśliłem przeto, myśliwych gęsto rozstawiwszy, napędzić go na nich i ubić. Jednakowoż nie udało mi się to. Przy tropie więc rysia rzeczy całkowicie inny wzięły obrót. Jeden z ludzi, tropiących rysia, zbyt blisko naszedł miejsce, w którem ryś był „obległ“, więc srogi z natury ten zwierz, miast uchodzić przed człowiekiem, obcesem z otwartą paszczą napadł na tegoż. Jedynie przytomności obecnego przytem gajowego, zawdzięcza człowiek ów swoje wybawienie. Skoro ryś opadł owego człowieka, na plecy mu wskakując, przytomny gajowy ugodził go grubym drągiem w łeb, co zwierza otumaniło, że spadł z pleców ludzkich. Na to gajowy, zdjąwszy z siebie rzemienny pasek, zadzierżgnął takowy na szyję rysia.

My myśliwi tymczasem, rozstawiwszy się w korycie potoka, z niecierpliwością patrzyliśmy wyjścia rysia. Niebawem jednak począł się w miocie jakiś dziwny hałas, który, jak nam mówiło przeczucie, nic dobrego nie wróżył. Z owego miejsca albowiem spodziewaliśmy się wyjścia rysia, a gwar pochodził z przeciwnej strony, z załomu jaru.

„Miałżeby — myślałem sobie — i tym razem nasz trud być daremny i milczeć będą dubeltówki nasze?...“

„Już go mają!“ — ozwały się naraz głosy.

Kto był, biegnie naprzód zobaczyć ujętego zwierza. Naraz wysuwa się z gąszczy cała myśliwska falanga z gajowych i chłopów złożona.

Zaprawdę ciekawy był to widok, który się oczom moim przedstawił: Piękny i duży ryś, jakkolwiek mało w nim już życia, a jednak resztek sił dobywając, radby zachwycić trzymającego go na smyczy gajowego pazurami przedniej wolnej łapy, lub zębami, które wyszczerzył. Z paszczy zwierza wychodził snop pary, nad paszczą żółte duże oczy mimo dnia iskrzyły się od wściekłości. Jeszcze kilka konwulsyjnych rzutów i już po wszystkiemu. Mocno naciągnięty pasek na śmierć udusił, jak się pokazało, rysicę.

Przed paru laty w tym miocie była tych zwierząt para. Przed blisko 5 laty samca z tej pary ubili chłopi siekierami w chwili, gdy opadł sztukę trzody.

Jest to zdarzeniem szczególnem, że samica w porze „parkoci“, „rozkomoszona“ do ostatniego stopnia, nie ruszyła w ostępy przy samych Tatrach leżące, gdzie by była na pewne towarzysza znalazła*). — Całych 5 ostatnich lat nikt w tym ostępie ani pary ani też młodych rysiów nie widział, prócz tej złowionej.

Można zatem śmiało przypuszczać, że i ryś skoro obrał sobie pewną przestrzeń lasu za miejsce pobytu, nie opuszcza go tak łatwo, nawet w gorącej chwili „parkoci“.

Pochwycona rysica jest sztuką okazałą i pięknie „znaczoną“. Od głowy aż do ogona mierzy 1·12 metra, na wysokość 60 centimetrów; ważyła 20 kilogramów.

Schille, nadleśniczy.

Myszkowce w maju 1888.

(Broń myśliwska.)

W czasie myśliwskiej pory ogórkowej, gdy nie ma polowań, piszę słów parę o myśliwskiej broni.

Na rok 1888, jako nowy wynalazek, zrobiła pewną senzacyę strzelba Raula Dąbrowskiego, na którą głośny ten myśliwy dostał patent, a którą miał w masie wyrabiać Francotte w Liège. Wynalazca nazwał ją strzelbą uniwersalną *(Universalgewehr)*. Miała być śrótówką i sztućcem do strzelania kulami stopkowymi Dąbrowskiego, to jest kulą z uciętym szpicem. Widziałem to dzieło. Jest to strzelba małego kalibru, mająca mocno wystające, grube, proste ciągi, bez wszelkiego zwężenia *(Fall)*, lecz równa w całej długości lufy. Zdaniem mojem nie odpowiada ona celowi, bo

*) Wedle naszych doświadczeń samice „kociego rodu“ w czasie parkoci nie „cieką się“, t. j. nie bieżą częstokroć w dalekie strony, szukając za samcem. W kocim rodzie dzieje się przeciwnie: samce głosem i powonią samki w owym czasie zwabione, odbywają podobne wędrówki. *P. R.*

proste ciągi są niczem dla kuli, która idzie ostro i dobrze tylko wtedy, gdy ciągi stanowią linię śrubową. Dla śrutu zaś są proste ciągi raczej szkodliwe niż pomocne. Taki sąd wydałem oglądnąwszy strzelbę w Wiedniu. Na to odpowiedział mi właściciel magazynu: *„Das Gewehr hat sich gar nicht bewährt.“*

Widziałem drugi najnowszy wynalazek patentowany, wyrób angielski, maszynowy. Lufy w tej strzelbie są lutowane srebrem i spajane stalowymi półpierścieniami, które są z jednej sztuki z zamknięciem u spodu i kawałkiem przydłużonej szyny z wierzchu. Strzelba dobrze odrobiona i może być dobra. Wszystkie części strzelby mają numera, a gdy się część jaka zepsuje, można ją zapisać wedle odpowiedniego numeru i nada się do każdej strzelby, bo wszystkie są co do joty równe. Łoże, kurki lub zamki odjęte od jednej strzelby, nadają się do każdej innej. Cena od 90 do 165 zł. Różnicę ceny stanowi jakość luf, grawirunek i inne ozdoby. Skład tych strzelb ma Schailer, Rothenthurmstrasse Nr. 26 w Wiedniu. Gdy się ten wyrób maszynowy rozpowszechni, może zabić wyrób ręcznej broni taniością i dokładnością wykonania.

Przypomną sobie czytelnicy „Łowca“, że przyrzekłem zdać sprawę z prób strzelania, odbytych z bronią systemu Lankaster i Teschnera. Mam strzelby lankastrówki równego kalibru, wyrobu Szpringera, Nowotnego, Mollnara — kal. Nr. 11. Strzelając z nich przez rok do tarczy i zwierza, przyszedłem do tego przekonania, że ostrzej i gęściej, szczególnie grubszym śrutem, strzela Teschnerówka Collata kal. Nr. 1. Pochodzi to z tej przyczyny, że kapsla Collata jest wewnątrz naboju i daje dużo płomienia, tak że cały proch w mgnieniu oka się zapala. Zresztą nie wchodzę w przyczyny, ale nie mogę nie chwalić skutku. Strzał z iglicowej broni zabija piorunująco zwierza, podczas gdy lankastrówka przy dalszych strzałach rani, lecz nie śmiertelnie. Przyznaję, że system iglicowy ma i wady — np. papierowe tutki w słotę, gdy się dużo strzela, są nieznośne — za to mieszczą grube przybitki i duże naboje, bo są dłuższe od tekturowych, i dają gęsty strzał, tworząc ze śrutu rodzaj kartacza. Co do mnie, używam przy nagonce o licznym zwierzu, lub do ptaków. zresztą wszędzie, gdzie się blisko strzela, lankastrówek, do dalszych strzałów zaś i na stworzenia z twardszem życiem iglicówki Collatha, która na bliską metę zanadto rozbija, osobliwie ptaki, lecz na dalszą za to zabija na miejscu o wiele pewniej niż lankastrówka.

Teofil Żurowski.

Ustrzyki dolne w maju.

(Kłusownictwo.)

Od lat 10ciu mieszkam w Ustrzykach. Miasteczko to, w okolicy swojej, posiada znaczne lasy. Po wejściu w życie ustawy łowieckiej, zwierzostan tej okolicy począł być świetnym, albowiem wielbicieli św. Huberta wcale tu nie wielu. Do roku 1884. okolica tutejsza poczęła zatem słynąć z obfitości sarn i zajęcy. Zmieniły się jednak stosunki niestety! Lasy Stefkowy, Ustyanowy, Łobozny, Teleśnicy Oszwarowej i Teleśnicy sannej, Orelca i Soliny, postradały w znacznej części swój dawny zwierzostan.

Co, a względnie kto temu przyczyną? Kłusownicy, których jest tu znaczna liczba. Wieśniacy Teleśnicy Oszwarowej a osobliwie Teleśnicy sannej wspólnie z mieszkańcami przysiołka Łęg, znaczny stanowią kontyngens uzbrojonych w broń palną kłusowników. Rodzajem herszta tej nieszanującej cudzą własność bandy jest Harhay, wieśniak z Teleśnicy sannej, który będąc zarazem domorosłym rusznikarzem, przewodzi partyi i zepsute strzelby naprawia. Pod wodzą Harhaya odbywają się polowania w cudzych lasach okolicznych. Za pretekst służy im obrona swych plonów przed dzikami. Niemal co święta lub niedziele, w kilkanaście strzelb i kilku głosem goniących kundysów polowania odbywać się zwykły. Ubitą zwierzynę wieśniak bądź sam spożywa, bądź też do Ustrzyk, albo dla pewności odbytu do Liska na sprzedaż wynosi. Kto pragnie kupić zwierzynę, dość jeśli w poniedziałek lub wtorek stanie wieczorem śród gościńca, bodajby pod starostwem, bo niechybnie zjawi się góral, dźwigający zwierzynę. Tanio ją nabyć można, więc sza!

Pan starosta liski, nie będąc sam myśliwym, nie wie zapewne, co się dzieje. Żandarmerya także nie jest szczegółowo o tem poinformowana, a w dodatku dla górzystości i przepaścistości kniei tutejszych, nie będąc w możności lustrowania lasów, nie może kłusowników na gorącym łapać uczynku. Broń myśliwską wedle ustawy każdemu mieć wolno, byle jej, gdy do tego nie ma prawa, do łowów nie używał. Lecz obowiązkiem straży leśnej owych miejscowości jest chwytać przestępców lub władzy o nich donosić. Straż ta jednakowoż, to wszystko kumy, swaty lub krewni kłusowników, a któż wedle form towarzyskich zechce „bić na własną krew?“ Tymczasem zwierzyny czem raz mniej.

Upraszam zatem szanowną Redakcyę „Łowca“, ażeby niniejszą korespondencyę w łamach swego pisma umieścić raczyła, mam bowiem nadzieję, że ktoś — komu o tem wiedzieć należy — dowie się o bandach kłusowniczych wyżej wskazanych i złemu zaradzi. Wielu chłopów, którzy nie posiadają broni palnej, chwyta sarny i zające na „stempice“, t. j. samołówki.

Istnienie owych band kłusowniczych jest rodzajem głośnej tajemnicy. Żandarmerya łatwo wszystkiego się dowie.

S...

Z Przemyskiego w maju.

(Psy niszczące zwierzynę.)

Od kilku lat spostrzegam, że w laskach, dąbrowach, lasach, a nawet i w polach, słynących niegdyś z mnogości zajęcy, pomimo, że nie było tak bardzo „złych zajęczych lat“, zwierzyny tej znacznie z każdym rokiem ubywa. Jakaż tego przyczyna? — Mam nadzieję, że udowodnię.

Najlepsza ustawa, skoro nie przez wszystkich będzie wykonywaną, dobrego skutku nie przyniesie. Członkowie galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego z wszelką skrupulatnością przestrzegają ustaw. Za dobrym ich przykładem poszli prawie bez wyjątku wszyscy właściciele większych posiadłości, pojąwszy w tem własne korzyści. Przeciwnie rzecz się ma z ludem wiejskim. On nie tyle ze złej woli, ile przez niezrozumienie szkodzi drugim a najwięcej sobie. Po części winny temu niedokładne przepisy gminne.

Przepisy owe przykazują ze względu bezpieczeństwa podróżnych, jadących lub pieszo drogą przez wieś dążących, aby złośliwe psy trzymać w czasie dnia na uwięzi. Lecz któreż to przepisy są u nas ściśle przestrzegane? Tak się i z tem dzieje. Mogłoby zresztą tak być, iżby psa puszczono z uwięzi, zwłaszcza w nocy, ale wówczas musiałby zostać w „zagrodzie“. Cóż, kiedy nasza „zagroda“ to *lucus a non lucendo.* Najczęściej ona wedle przysłowia „grodzona wiatrami“. Jeżeli istnieje brama, to w płotach pełno dziur.

Pies dowolnie się niemi wymyka, napada podróżnych i używa do woli polowania. Psy zaś „niezłośliwe“, wedle zwyczaju, nietylko w nocy, ale całymi dniami chodzą wolne.

Dobrze to wiadomo, jak nawet zasobny wieśniak żywi swoje psy. Odrobiną barszczu albo łupą z ziemniaków pożywione psisko, głodem ciśnięte, musi w końcu wyruszyć w pola dla szukania żeru. Rok cały spostrzegamy też psy wieśniacze kopiące za myszami i wyjadające gniazda kuropatw, przepiórek i t. p., niemniej wyłapujące młode zające. Wieśniacy w ogóle psom za złe tego nie mają; owszem, cieszą się, że ich kurta taki „cikawy“.

Przed laty miałem sposobność dokładniej poznać Czechy. W tamecznych przepisach gminnych wyraźnie stoi: „Ogrodzenia budynków mieszkalnych lub gospodarskich tym sposobem urządzone być powinny, ażeby psy złośliwe dla bezpieczeństwa ludzi we dnie i w nocy po za takowe wymknąć się nie mogły. Psy nie napastujące ludzi, dla uniknięcia szkód w zwierzostanie pól i lasów, niemniej po za obręb podwórza wychodzić nie powinny. Każden bez wyjątku pies, włóczący się nietylko po polach lub lasach, lecz nawet o 100 kroków po za obrębem sioła napotkany, powinien być, jeśli takowego gmina utrzymuje, przez oprawcę ujęty lub przez straż polową ubity. Oprócz tego niedbały właściciel podobnie ujętego psa płaci grzywnę i t. d.“ Przy podobnych rygorach łatwo w Czechach i Morawii o bogaty zwierzostan. W naszym kraju oprócz lisów i kłusowników, głównymi tępicielami zwierzyny łownej są psy, skutkiem niedostatecznych ogrodzeń, przez rok cały, dniem i nocą po polach się włóczące.

Jako członek Galic. Tow. łowieckiego, i dbały o dobro kraju obywatel, śmiem upraszać szanowny Wydział Galic. Tow. łowieckiego, ażeby w dodatku do swej tak korzystnej dla łowiectwa działalności, zechciał na właściwej drodze domagać się dokładniejszych rozporządzeń co się tyczy ogródzeń wiejskich, tak zwanych „obejść“ i tępienia włóczących się a szkodliwych psów.

P.

KRONIKA.

Na zaproszenie Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, raczyli przyjąć urząd delegatów powiatowych Towarzystwa następujący członkowie tegoż:

Adolf br. Brunicki w pow. Gródeckim; Stanisław hr. Tarnowski w pow. Drohobyckim; Aleksander Szczepański w pow. Samborskim; Wincenty Berezowski w pow. Bobreckim; Teofil Żurowski w pow. Liskim; Tadeusz Starzyński w pow. Żółkiewskim. Władysław Czerkawski w pow. Przemyślańskim; Jacek Kieszkowski w pow. Skałackim; Tadeusz Cieński w pow. Zaleszczyckim.

Tegoroczny ciąg Pustynnika *(Syrrhaptes Pallasii v. paradoxus)*, o którym „Łowiec“ podał pierwszy wiadomość, zwrócił na siebie uwagę w różnych okolicach środkowej Europy, szczególniej w Niemczech i Czechach. *Illustrirte Jagdzeitung* (wychodząca w Lipsku) podała w Nr. 32. wierny obraz tego pięknego ptaka. Ze Szlezwiku donoszą, iż Pustynniki się tam osiedliły, a rząd szlezwicki rozesłał w d. 9. maja okólnik, nakazujący ochronę Pustynnika, tj. zabraniający strzelania go, niszczenia gniazd, wybierania jaj, sprzedawania żywo schwytanych czy ubitych ptaków itp., a to pod grzywną 30 marek, względnie karą aresztu. Okólnik wyraża nadzieję, że Pustynnik osiedli się stale w Szlezwiku i pomnoży tem samem liczbę ptaków łownych. Przełożony sekcyi ornitologicznej w stowarzyszeniu przyrodników dla Szlezwiku i Holsztynu wydał również odezwę do myśliwych i miłośników przyrody, aby czuwali nad ochroną Pustynnika i dostarczali mu wszelkich dat co do pojawiania się tego ptaka, osiedlenia, pożywienia, gnieżdżenia, lęgu itd. W r. 1863 gnieździły się one już i wylęgły młode na wyspach Sylt i Fanö, położonych w szeregu wysp północno-fryzyjskich przy zachodniem wybrzeżu Szlezwiku. Piaszczyska, odpłóczyska i pustki tych wysp odpowiadają trybowi życia Pustynników.

Preparatorowi J. Dorfingerowi w Wiedniu dostarczono trzy Pustynniki do wypchania. Jednego z nich znaleziono dnia 4. maja w Austryi niższej koło Tulnu nieżywego; wnosząc z rany, zginął w skutek gwałtownego uderzenia się o drut telegraficzny; dwa inne ubito pod lasem w Enzersdorfie ze stada, liczącego około 30 sztuk. W r. 1863 widziano Pustynnika tak jak u nas także w Niemczech; w Austryi niższej nie było go wówczas. W Austryi wyższej, koło Mangelburga, na gruntach, należących do dóbr hr. Revertery, osiadło stadko złożone z siedmiu Pustynników; koło Friedburga ubito kilka sztuk.

W Czechach ubił jednego Pustynnika dn. 22. kwietnia pan Jarosz w Czasławku koło Czerniowiec i odesłał go do Pragi; koło Czeskiego Brodu widziano stadko, złożone blisko ze stu ptaków i ubito z nich dwa. Preparator praski pan Pulkrabek wypchał je w postawie wzlatywania.

Z Niemczech są następujące daty: Koło Bukowa w Marchii Brandenburskiej odstrzelono jednego Pustynnika ze stadka, liczącego około 20 ptaków, inny padł w Hanowerze, pod Lipskiem znaleziono dwie sztuki, które się zabiły, uderzając o druty telegraficzne, w pow. Elbląskim ubito 25. kwietnia dwie, w pow. Lignickim zaś ze stadka około 50 ptaków, także dwie sztuki.

Pan Rolle z Reichenau w Saksonii doniósł, że tam osiadły Pustynniki, i że kilka z nich znaleziono skaleczonych o druty telegraficzne, lecz żadnego z nich nie dało się przy życiu utrzymać. Koło Szprotawy na Szlązku pruskim ubito dwie sztuki; koło Sorawy zastrzelono również dwie, jedną zaś zbarczoną wyleczono i ta się chowa; duże stado osiadło na tamtejszych polach i doznaje opieki ze strony ludności.

Dr. Reichenow, kustosz król. muzeum zoologicznego w Berlinie, zamieścił w dziennikach wezwanie, aby mu donoszono o wszystkich wypadkach pojawiania się i ubicia Pustynników, oraz prośbę o ochronę ich jako nowego a bardzo cennego gatunku ptaków łownych.

W W. ks. Poznańskiem zauważano tożsamo Pustynnika. Pod Strzelnem znalazł pan Horak skaleczonego o drut telegraficzny, starannem pielęgnowaniem wyleczył go i utrzymał przy życiu. Pod Mogilnem widział tenże sam myśliwy w wysokości 6 do 7 metrów nad ziemią duże stado w locie. „Kuryer Poznański“ i „Gazeta Toruńska“ donoszą, że Pustynnik pojawił się także w okolicach Miłosławia. Z pod Szamotuł piszą do „Kuryera Poznańskiego“, że szczególne ptaki widziano tam w gromadkach po 15 do 30 sztuk. Korespondent twierdzi, że jakiś okoliczny ornitolog nazwał je *Pterocles senegalensis*, podaje atoli taki opis spostrzeżonych ptaków, iż nie ulega wątpliwości, że to był *Syrrhaptes*. „Kilka z tych ptaków — kończy korespondent — widziałem jeszcze dzisiaj (12. maja) w polu, z czego można wnosić, że przez ten rok pozostaną u nas, gdyż czas mają za krótki, aby powrócić do swej ojczyzny.“ Cztery egzemplarze tych ptaków, starannie wypchane, są w posiadaniu hr. Mycielskiego w Gałowie.

Warszawskie „Słowo“ zamieściło następującą notatkę: „W tych dniach, na polach dóbr Michałów nad Pilicą, pod Grójcem, zapadło stado, liczące paręset sztuk nieznanego ptactwa. Właściciel majątku, p. D'al Trozzo, postrzelił jednę sztukę i nadesłał ją p. Sztolcmanowi, który orzekł, iż postrzelony ptak należy do gatunku „Pustynników“, żyjących wyłącznie w Azyi. Prawdopodobnie więc stado owe przypędziła aż do nas silna burza. Postrzelona sztuka, po wyleczeniu z lekkiej rany (leczyć ptaka przed ubiciem w celu wypchania — najlepszy sposób aby go zniszczyć. P. R.) zwiększy zbiory hr. Branickich we Frascatti.“

P. Jan Jodko z Bębnówki w gubernii Podolskiej donosi nam, że Pustynnik pojawił się także na tamtejszych polach. „Spotkałem — pisze p. J. — na swoich gruntach kilka stadek, mogących zawierać 15 do 30 sztuk w każdem. Nadmieniam, iż lot ich z daleka bardzo objawia się głośnym świstem i że nie są dzikie, gdyż po strzale siadają o paręset kroków dalej.“

Z Jasła pisze nam dr. Jan Biesiadecki: „Pustynnik był tutaj w znaczniejszej ilości w kwietniu i ubito parę sztuk, które niestety na kuchnię poszły.“

To są szczegółowe daty ciągu Pustynnika, które doszły do naszej wiadomości. Podajemy w końcu, że p. Wiktor Tschusi, zamieszkały w willi Fännenhof pod Hallein, obecnie prezes komitetu dla ornitologicznych stacyj obserwacyjnych w Austro-Węgrzech, ogłosił w dziennikach odezwę, wzywającą myśliwych do szczególnej ochrony Pustynnika i do nadsyłania mu szczegółowych dat o jego pobycie. Tę samą prośbę wystósował p. Tschusi także do redakcyi „Łowca“, która już ze swej strony przed miesiącem miłośników przyrody do badań nad Pustynnikiem i do ochrony tego pięknego ptaka zachęciła.

Polowanie na głuszce rozpoczął w tym roku cesarz Franciszek Józef d. 15. kwietnia jak zwykle w rewirach niższo-austryackich, a mianowicie w Reichenau. Towarzyszyli mu jeneralny adjutant hr. Paar i przyboczny adjutant bar. Saar. O godz. 2. nad ranem udano się ze stacyi Payerbach na stanowiska, gdzie koguty tokowały. O godz. w pół do 5. padł pierwszy strzał i pierwszy głuszec z ręki cesarza. W dwie minuty później strzelił bar. Saar, nieco później hr. Paar i trzy głuszce przyniesiono na stacyę w Payerbach.

Dnia 20. kwietnia udał się był cesarz z hr. Paarem i pułkownikiem bar. Fleisserem również ze stacyi Payerbach do kniei Larchwald. Tutaj ubił cesarz zaraz po godz. 4. tokującego koguta, a w kwadrans później drugiego, bar. Fleisser także dwa, a hr. Paar jednego. Na tokowiskach w kniejach styryjskich polował cesarz z liczniejszymi gośćmi d. 30. kwietnia i 1. maja. Padło tam 14 kogutów.

Przepiórka na ulicy. Otrzymaliśmy d. 16 maja z Krakowa następującą karteczkę: „Piszę to o godz. 11 w nocy pod świeżem wrażeniem doznanej przyjemności i zdziwienia. Zajęty pracą, usłyszałem przed chwilą z ulicy kilkakrotne bicie przepiórki. Ponieważ lubię bardzo te ptaki, wychyliłem się z okna, aby się dowiedzieć, który to z moich sąsiadów ją posiada. Lecz jakież było moje zdziwienie, skoro bicie to dochodziło mnie najwyraźniej z trawników świeżo założonych plantacyi na ulicy Dietla, pomiędzy dwoma rzędami kamienic, latarń, wśród ruchu ludzi i wozów. Lecz nie koniec na tem; po chwili zaszeleściało coś pod moim oknem, tuż koło świecącej się latarni, a do tego czerwonej. Za chwilę usłyszałem z tego miejsca znowu kilkakrotne bicie i chrapanie. Dojrzeć jednak nic nie zdołałem. Przechodnie zwabieni biciem przepiórki, zbliżyli się zanadto blisko i ptak spłoszony uleciał gdzieś dalej. Widocznie był bardzo zmęczony i zgłodniały, skoro sobie tak niewygodne i niespokojne wybrał miejsce odpoczynku wśród gwaru miejskiego. Odpoczywał może kwadrans wszystkiego, wabiąc jednak swoich towarzyszy, którzy wysoko i wytrwale zapewne wędrowali dalej na północ.“ *(H. M.)*

Biednym wróblom wydano zajadłą wojnę w stanach Północnej Ameryki. Komisarz departamentu rolnictwa w raporcie swym za rok 1886 oświadcza się stanowczo przeciw wróblowi, jako szkodnikowi, i oddaje go na wytępienie. Urzędownie poleca on, ażeby burzono gniazda wróbli z jajami i pisklętami, uznaje za przestępstwo, jeśli kto szkodniki te żywi, i zabrania aklimatyzowanie wróbla w miejscowościach, gdzie go dotąd nie było. Raport przemawia natomiast za wydaniem rozporządzeń, mających na celu ochronę tych ptaków drapieżnych, które głównie na wróbla polują.

W Nowym Jorku wydano już dawniej rozporządzenia, tyczące się tępienia wróbli, lecz nie osiągnięto tem wielkiego skutku, gdyż siła rozmnażania się wróbli w Ameryce jest niesłychaną. Do roku 1850 nie był tam jeszcze wróbel znanym; dopiero w tymże roku przywieziono wróble z Europy do Brooklynu (w stanie New York) i powitano je tam z radością. Transport ten atoli nie utrzymał się. Jednakże w r. 1853 przywieziono go na nowo, a ci koloniści europejscy udali się nadspodziewanie, bo już w r. 1870 należał wróbel do ptaków, rozpowszechnionych we wschodnich stanach Północnej Ameryki. Odtąd zajmuje ród wróblęcy coraz szersze przestrzenie i zapełnia świegotem swym obecnie już i ziemie na zachód od rzeki Mississipi położone. Od 36 lat rozmnożył się tak dalece, że dziś zajmuje już 885.000 kw. mil. angiel. w Kanadzie, i szerzy się coraz bardziej, gdyż gnieździ się bez trudności sześć razy do roku. Jest to może jedyny fakt w dziejach aklimatyzacyi.

Wojna, wydana dziś przybyszowi europejskiemu, nie będzie łatwą. A oto zbrodnie, które wróblowi w Ameryce przypisują: Wróbel prześladuje i wypędza śpiewające ptaki amerykańskie; staje się plagą ogrodników i sadowników, gdyż wypiera ptaszyny owadożerne, a sam rzuca się chętnie na młode jarzynki i owoce; wyrządza szkody w winnicach z powodu żarłoczności, z jaką grasuje między dojrzewającem gronem, a także na łanach zboża, gdzie narusza kłosy, mające ziarno jeszcze w mleczku; brucze on ściany domów i pnące się po nich rośliny swym pomiotem; nie tępi wcale owadów, owszem w gnieździe swym daje przytułek oprzędom niektórych owadów i t. d. Jak widzimy, są tu nawet zarzuty przesadne, tak bardzo okazuje się amerykański komisarz zaślepionym przeciw europejskiemu intruzowi. Twierdzi on dalej, że szkody wyrządzane rolnikowi przez wróble oceniają w Anglii na 8 millinów zł., w Australii jeszcze wyżej — szkoda zaś Stanów Zjednoczonych nie da się nawet obliczyć. To też pod nazwą „ptaków ryżowych“ wynoszą Amerykanie coraz częściej wróble na targi jako pieczyste, a tam, gdzie ich jest zbyt wiele, trują je nawet ziarnem, zaprawianem trutką. Biedne wróble! Niewątpliwie zbyt jaskrawo ścigają Amerykanie ich szkodliwe wybryki.

Ptasi kolos. Do berlińskiego ogrodu zoologicznego dostawiono ostatnimi czasy ptasie monstrum, przypominające swymi kształtami i ogromem ptaki plioceńskiego peryodu zoologicznego. Jestto t. zw. „Gorojo“ *(Struthio somalensis)*, rodzaj strusia, którego w zbiorach europejskich zaledwo kilka egzemplarzy znaleść można. Wysokość „Goroja“ od ziemi do szczytu głowy wynosi 9 i pół stóp, od ziemi do grzbietu przeszło 5 i pół stóp; ciężar wynosi 600 funtów t. j. tyle co porządnego konia kawalerzyckiego. Długa szyja „Goroja“ jest prawie całkiem naga, głowa płaska, oczy ogromne, świecące, z powiekami górnemi o rzęsach, dziób rogowaty, szeroko aż pod oczy rozcięty, nogi nagie, stopy dwupalcowe. Codzienne pożywienie „Goroja“ składa się z 10 funtów gotowanych kości cielęcych, 10 funtów chleba i całego kosza zieleniny.

Wystawa drobiu odbyła się w Wiedniu, w Praterze, od 13. do 21. maja. Starano się na niej nie tyle o ilość zwyczajnych targowych gatunków drobiu, ile o rozmaitość i okazy rzadkie a doborowe. Zebrano zatem 300 odmian kur, 400 odmian gołębi, wiele rozmaitych kaczek i gęsi, bażantów, pawi, pantarek, nareszcie królików, między którymi były niektóre iście olbrzymich rozmiarów. Z wystawą była połączona loterya, której ciągnienie odbyło się w dniu zamknięcia wystawy.

Okrutny sport. Szerzące się coraz bardziej strzelanie do gołębi, t. zw. *tir aux pigeons*, staje się jednym z najokrutniejszych sportów. Aby zmusić gołębia do natychmiastowego wzlecenia w górę, wyrywają mu piórka z ogona i posypują zranione miejsca miałkim pieprzem; chcąc zaś przeszkodzić szybkiemu lotowi ptaka, łamią mu w pewnych miejscach kostki. Jeżeli gołąb ma lot skierować w prawą stronę, wykłuwają lub wyciskają mu lewe oko, to samo dzieje się z prawem okiem, jeżeli ptak ma frunąć na lewo. Gdy zaś gołąb ma fruwać bez kierunku, jakby spłoszony, wówczas pozbawiają go obojgu oczu. Ptaki spadające na ziemię, są rozszarpywane przez specyalnie w tym celu tresowane psy. W Anglii, dzięki usiłowaniom księcia Walii i jego małżonki, okrutny ten sport już dzisiaj znacznie mniej liczy miłośników, natomiast rozpowszechnia się we Francyi, Włoszech i Niemczech.

Wystawa psów myśliwskich i zbytkowych, z wielu względów bardzo ciekawa i bogata, urządzona w dniach 19. do 22. maja w salach Towarzystwa ogrodniczego w Wiedniu, ściągała wielu ciekawych. Odwidzinami swemi zaszczycił ją także d. 21. z. m. cesarz Franciszek Józef, tudzież arcyksiążęta Karol Ludwik i Reiner. Katalog wystawy obejmował 470 okazów. W dziale myśliwskim, oprócz pysznie i licznie reprezentowanych wyżłów, imponowały liczbą i jakością t. zw. „foksterriery“, rodzaj wielkich rattlerów. Pięknością zwracały na siebie uwagę okazałe „Neufundlandczyki“, psy św. Bernharda z Binghers, japońskie „Chins“, angielskie i niemieckie „doggi“. Między wyżłami górował niemiecki, krótkowłosy wyżeł „Karo“, którego cena wynosiła 1000 zł. w. a.; naprzeciw stała dwuletnia dogga za 500 zł. w. a. Ciekawe były sceny, gdy między gośćmi zwiedzającymi wystawę pojawiali się właściciele eksponowanych okazów. Wesołe szczekanie, skomlenie, skakanie radośne, dodawały wystawie życia. Między psami zbytkowymi prezentowały się mopsy, King Charles, hiszpańczyki, maltańczyki, bolończyki, psy hawańskie, pincze zwyczajne i karliki, maleńkie ratlerki, charciki włoskie i inne. Poduszki i halsztuki niektórych uderzały przepychem. Były także piękne okazy buldogów, pudli i „bulterrierów“.

Wilki i strychnina. Nie tak to łatwo chwycić basiura na strychninę, jak lisa. Do „Bosnische Post“ piszą z Lubinia w Bośnii d. 23. kwietnia co następuje: W ciągu ubiegłej zimy czynili leśniczowie kilkakrotne usiłowania, ażeby wytruć wilki, które w bydle wielkie robiły szkody. Zaprawiali więc strychniną padlinę końską i porzucali ją w odpowiednich miejscach, ale bezskutecznie. Znajdywano lisy i sępy potrute — tylko nie wilki. Nie skutkowała trutka nawet wtedy, gdy naokoło miejsc z zatrutą padliną obwożono po śniegu przynętę. Wilki się nie pojawiły.

Sprawdziło się zatem mniemanie tutejszego ludu, że wilk pożera tylko tę zdobycz, którą sam upoluje i chyba w ostatecznym razie czepia się padliny. Mogła się do bezskuteczności prób przyczynić i ta okoliczność, że w skutek surowości zimy i braku paszy padło w naszej okolicy dużo bydła i można było spotykać po polach porzucone ścierwa.

Przygody z niedźwiedziem. W lasach Körösmeskich na Węgrzech wyszedł w kwietniu leśny Jan Kossovan na słonki, gdy wtem wybiegł z gąszczy mały niedźwiadek i — jak gdyby szukając opieki, położył się u nóg leśnego. Kossovan chwycił niedźwiadka i uderzył nim o drzewo. Niedźwiadek począł wrzeszczeć z bolu, a na głos ten rozległ się straszny ryk w pobliżu i wnet wypadła niedźwiedzica z krzaków. Leśny znalazł się w obec wielkiego niebezpieczeństwa, tem bardziej, że miał tylko śrótem nabitą dubeltówkę. Gdy jednak niedźwiedzica rzuciła się na Kossovana, strzelił jej w ślepie. Strzał był tak szczęśliwy, że oślepił niedźwiedzicę, która też w bok się rzuciła i wkrótce znów w krzakach zniknęła. Leśny starał się prędko kulę wsadzić do lufy, lecz już było za późno. Dopiero w kilka godzin później wytropiono oślepione zwierzę i ubito je. Niedźwiadka zaniesiono żywcem na leśniczówkę.

O innem ciekawem polowaniu na mysia donosi dziennnik „Hrvatska“ z Carlobago w Kroacyi. W rewirze „Ramino Korito“ wykryto jaskinię, w której niedźwiedź miał swą gawrę. Dano o tem znać leśniczemu Zaicowi, synowi znanego muzyka. Zaic wybrał się z pięciu ludźmi do jaskini. Krzyczano, wywoływano mysia rozmaitemi obelżywemi przezwiskami, lecz nadaremnie. Postanowiono wreszcie wysłać jednego chłopa do jaskini, aby zobaczył, czy niedźwiedź siedzi tam w istocie. Los padł na Jurka Berkljasica, który też nie wiele myśląc wlazł do jamy, a wydobywszy się z niej wkrótce, zdał raport, że leży tam dwa niedźwiedzie, jeden duży, a drugi mały. Leśniczy, usłyszawszy to, dał ognia na ślepo do jaskini. To poskutkowało. Z przerażającym rykiem pojawiła się w otworze niedźwiedzica, a celny strzał Zaica położył ją trupem. Ważyła trzy cetnary cłowe. Po młode poczołgał się znowu Jurko do Jaskini i wydobył je ztamtąd. Był to roczniak, piastun, dobrze odżywiony, którego przesłano żywcem arcyksięciu Rudolfowi w podarunku. Następca tronu raczył dar przyjąć i odwzajemnił się p. Zaicowi brylantową szpilką.

Koło Koszyc na Węgrzech, w Kis-Ladna, polowali członkowie koszyckiego Towarzystwa łowieckiego dnia 14. maja na dziki. Zaraz w pierwszym miocie wyszła na jednego leśnego, który w ogóle odważnym jest myśliwym, cała rodzina niedźwiedzi: para starych i troje młodych. Leśny strzelił na największego niedźwiedzia, który prawdopodobnie lekko tylko raniony, rzucił się z rykiem na strzelca. Krzycząc przeraźliwie i mając niedźwiedzia tuż za sobą, uciekł leśny do stojącego na najbliższem stanowisku leśniczego Fayt'a. Ten chciał się złożyć, lecz — rzecz szczególna — niedźwiedź, przeląkłszy się prawdopodobnie przeraźliwego krzyku, uciekł. W półtory godziny później obstąpiono parów, gdzie się niedźwiedzie schroniły. Tutaj ubito niedźwiedzicę; młode umknęły. Ranionego niedźwiedzia nie odszukano więcej.

„Bos primigenius“, tur kopalny, t. j. zupełny szkielet tego przed wielu wiekami wymarłego przeżuwacza, dostał się tymi czasy do zbiorów akademii rolniczej w Berlinie. Znaleziono go w torfiastym gruncie między Beeskowem a Liebrose w okręgu Lübben. Kości są prawie całkiem czarne i świecące, jak gdyby były polerowane. Szkielet tura tkwił jeszcze nogami w piasku pod warstwą torfu. Prawdopodobnie przed tysiącami laty, idąc po lodzie, załamał się w tem miejscu olbrzymi przeżuwacz i ugrzązł w namule. Cały, tak dobrze zachowany szkielet tura kopalnego, jest wielką rzadkością. Drugi podobny znajduje się w muzeum uniwersyteckiem w Land, w Szwecyi, ciekawy z tego względu, że w jednym z kręgów pacierzowych tkwi strzała krzemienna, którą ugodził tura jakiś łowiec czasów przedhistorycznych.

Z Egiptu przywiózł znany uczony, prof. Virchow, rzadki dar dla berlińskiego akwaryum. Jestto wielka, w pustyniach żyjąca jaszczurka, zwana „Waran“ *(Varanus niloticus)*, którą wydobył z starożytnego grobowca zamiast mumii egipskiej. Mierzy ona około 1 metra długości i jest żółto ubarwiona z ciemnymi poprzecznymi pręgami. Prof. Virchow, jak wiadomo więcej dziś archeolog niż patolog, tak opisuje znalezienie tej egipskiej rzadkości: „Zapuściliśmy się z Schliemanem i Schweinfurtem ku południowemu krańcowi oazy Fajum, gdzie dopiero ostatnimi czasy sprowadzono wodę nowymi kanałami i wydarto Saharze kawałek urodzajnej ziemi. Części pustyni wrzynają się jeszcze pomiędzy role uprawne, tak, że nowy nabytek stanowi właściwie tylko nową oazę. Miejscami koczują tu jeszcze beduini; na wyższych i pustynnych odłogach znajdują się tam liczne starożytne groby, których dotychczas nie badano. Schweinfurth, który je opisał, dał im nazwę libijskich. Gdyśmy najbliższy z nich rozkopali, natrafili robotnicy nasi nagle na chodnik „psammosaurusa“, a wkrótce chwycili i jego samego. Było to w niedzielę wielkanocną d. 1. kwietnia przy temperaturze 29° C., która wobec zupełnej ciszy powietrza i braku cienia dawała się nam we znaki. Od tej chwili jaszczurka nic nie jadła i odbywała spokojnie wraz ze mną podróże do Kairu, Aleksandryi i Grecyi, a więc pościła równo sześć tygodni.“

W kilka godzin po przybyciu do akwaryum skusił się Waran na jedzenie, spożył żywą mysz i ma się dobrze.

Wymarzłe ryby. Dla wszystkich stworzeń była ubiegła zima srogą. Skarżą się z wielu stron, że wymarzło bardzo wiele ryb w stawach i jeziorach. Przerębłe ścinały się szybko za silnych mrozów i zachodziły grubym lodem, a ryby się dusiły.

Wielkie ryby. Ogromnego szczupaka, t. zw. „wilka“ szczupaczego rodu, złowiono 17. kwietnia r. b. w jednem z jezior „Salzkammergutu“ a mianowicie w Mondsee. Mierzył on 145 centymetrów, miał 50 cm. w obwodzie i ważył 21 kilogramów.

W Dunaju pomiędzy Tököl a Erd ułowili dwaj rybacy, będący w służbie u A. Singhoffera, dnia 9. maja b. r. wyża *(Acipenser huso)*, który ważył 270 kilogramów. Jestto olbrzym, jaki się raz na 10 lat w Dunaju przytrafia.

Co się dzieje z ustawą o rybołowstwie? Pomimo, iż otrzymała sankcyę jeszcze w październiku 1887, dotychczas nie weszła w życie, gdyż nie wydano dotychczas wymaganych w niej przepisów wykonawczych. Dowiadujemy się, że trudność zachodzi w ustanowieniu oddzielnych wydziałów rewirowych rybackich. Otóż na wniosek krakowskiego Towarzystwa rolniczego, idąc za opinią dwóch znawców w sprawach rybołowstwa, prof. dra Nowickiego i p. Aleksandra Gostkowskiego, postanowił Wydział krajowy skorzystać z przysługującego mu z mocy §. 30 nowej ustawy prawa i odnieść się do p. ministra rolnictwa z prośbą, ażeby nie zaprowadzano wskazanych w ustawie wydziałów rewirowych rybackich, ale aby funkcye tychże wydziałów przekazano Wydziałowi krajowemu. Ewentualne objęcie przez Wydział krajowy czynności wydziałów rybackich uważać jednak należy za stan przejściowy, gdyż w miarę rozszerzania się wiedzy w dziedzinie hodowli ryb w naszym kraju i w miarę rosnącego zainteresowania się tą gałęzią nauki, wyrobią się z czasem osobistości, z których tworzyć będzie można wydziały rybackie. Wówczas będzie Wydział krajowy w możności wydziały takie stopniowo organizować, teraz zaś czeka, ażeby ze zgodą ministerstwa za pomocą własnych organów przepisy nowej ustawy wprowadzić w życie.

Wystawa rybacka w Petersburgu otwartą zostanie w dn. 27. listopada b. r. i trwać będzie do dn. 1. stycznia 1889 r.

Hr. Samuel Teleki, towarzysz wypraw myśliwskich arcyks. Rudolfa, wybrał się, jak wiadomo, z oficerem marynarki Höhnelem do Afryki. Ostatni list, który od obu podróżników doszedł do Europy, datowany był d. 10. lipca 1887. Rodzina niepokoiła się tak długiem milczeniem i przypuszczano, że obaj myśliwi zginęli. Dopiero w przeszłym miesiącu przyszło na zapytanie arcyks. Rudolfa doniesienie od austro-węgierskiego konsula z Zanzibaru, że Telekiego i Höhnela widziano w styczniu nad jeziorem Borongo i że w listopadzie projektują sobie być z powrotem w Zanzibarze.

Burze w Indyach. Angielskie pisma relacyonują o przerażających burzach, które przed miesiącem szalały w niektórych okolicach Indyj wschodnich. W Moradabad zabił 150 ludzi grad, padający całemi grudami lodu. Dachy zostały pozrywane i zburzone, drzewa z korzeniami powyrywane, a gdy burza minęła, ziemia była lodem okryta. Tożsamo działo się i w Delhi. Kawały gradu miały kształt melonów i ważyły po $1^1/_2$ do 2 funtów. W Rayeboti, w niższej Bengalii, zniszczyła burza 2000 domów, zabiła 20 osób a 200 zraniła ciężko. Woda na rzece była tak wzburzona, że łodzie powyrzucało na brzegi, a jedną małą łódkę rzuciło tak w górę, że utkwiła między gałęziami nadbrzeżnego drzewa. Natura tropikowa jest we wszystkich swych objawach olbrzymią.

Rzadkości łowieckie. W połowie grudnia z. r. ubito w lasach karynckich w pobliżu miejscowości Kanker silnego i należycie rozwiniętego rogacza o całkiem białych cewkach.

Czarnego całkiem kozła, przy kozach normalnie ubarwionych, ubito ubiegłej zimy koło Seehausen, a czarnego daniela (szpiczaka) koło Dechtowa w lasach Turyngskich.

Z albinosów zasługuje na wspomnienie biały borsuk, ubity koło Gailthal i biała łania, zastrzelona w Ilfeldzie.

W lesie karaskim pod Iławą poczęły się gnieździć tej wiosny czarne bociany.

Sztuczki zajęcze. Powszechnie twierdzą, że zając pod względem inteligencyi zajmuje między czworonożnemi zwierzętami bardzo poślednie stanowisko. I rzeczywiście, żaden z jego zmysłów nie jest tak uderzająco rozwiniętem, jak u innych zwierząt łownych. Widziałem nieraz, jak w czystem polu pod wiatr, (ale tak, że mu słońce w ślipie świeciło), pędził zajączyna obces na myśliwego. Bronić się także nie umie, a raczej nie ma czem; to też psy, lisy, jastrzębie, koty, ba nawet wrony i sroki, wszystko go prześladuje, niszczy i gdyby nie nadzwyczajna płodność, dawno już ten biedny zajączek byłby się stał rzadkością. Mimo to jednak i ten, że się tak wyrażę, głupi zając, płata czasem arcykomiczne figle tym, co na niego polują.

Oto wypadek z własnych mych przygód myśliwskich:

Od najmłodszych moich lat miałem do polowania wielkie zamiłowanie, i najmilszą moją rozrywką w czasie wakacyi było: włóczyć się ze strzelbiną po całych dniach i straszyć wrony, sroki etc. Później jednak wyrozumowałem sobie, że w taki sposób do niczego nie doprowadzę, i tylko daremnie prochu napsuję. Podówczas był w tem majątku, gdzie mój ojciec trzymał dzierżawę, a ja przy gospodarce praktykowałem, stary leśniczy p. Niewiadomski. Był to mój ideał. Do niego przyczepiłem się jak satelita. Był to skończony myśliwy, bo nietylko wyborny strzelec, z orlim wzrokiem, którym zająca pod ziemią upatrzyć umiał, ale w całem tego słowa znaczeniu myśliwy, ze szkoły śp. Marcina hr. Zamoyskiego, który wedle jego opowiadania, jak ongi ks. Karol „Panie kochanku", z kuchnią i namiotami po 14 dni począwszy od Kamionki strumiłowej aż po Złoczów z drużyną myśliwych polował i zawsze pod gołem niebem biwakował, paląc sągi, za które później płacił, mając na furach prowiant bigosów, wędlin i marynaty, a na zakropienie kufę „*Aquae vitae*" i jaki antałek wina. Otóż polując przez parę lat z takim mentorem, jakim był stary Niewiadomski, nauczyłem się od niego objeżdżać zająca na ponowie, upatrywać go i strzelać w miejscu.

Powracając raz z takiego polowania i mając trzy zające w sankach, spotkałem się z poczciwym biurokratą, panem S., któremu zająca ofiarowałem. „Zkąd pan wziąłeś aż trzy zające?" pyta mię biurokrata. „Objechałem je i ubiłem," była moja odpowiedź. „A jak się to robi?" „Opowiedzieć nie mogę, ale pokażę panu chętnie," odrzekłem. Pan S. dziękuje i prosi, żeby go koniecznie zabrać na takie polowanie, i nauczyć jak się zająca objeżdża, co mu też przyrzekłem.

W kila dni później, przez cały dzień padał śnieg przy silnem wietrze, nad wieczorem jednak wiatr ustał zupełnie, ale śnieg sypał jak z worka. Na drugi dzień raniutko przychodzi chłopak, by zabrać rzeczy do czyszczenia, i na zapytanie, jak tam na świecie, odpowiada: „Nad ranem ustał śnieg zupełnie, wiatru nie ma żadnego, powietrze łagodne." Wstałem tedy z łóżka, napisałem bilet do pana S., posłałem konie po niego, i w niespełna godzinę wyruszyliśmy z domu.

Jak wyżej rzekłem, śnieg przestał padać dopiero nad ranem, to też zając chodził krótko, pożerował trochę, zrobił kilka kluczek i zasiadał, a że i teren był mi dobrze znany, i powierzchnia śniegu gładka, a przy tem zmięczka, przy której zając twardo dosiaduje, nie upłynęło więc pół godziny, kiedy pokazałem p. S. „parpawinę" mówiąc: „Widzisz pan, tam, gdzie śnieg wygląda, jakby go kret wyrył, siedzi zając." Poczciwy biurokrata odwodzi z emocyą kurki, a przyszedłszy do parpawiny zagląda, lecz zająca nie widzi; powraca tedy do sani i relacyonuje, że zająca nie ma. Skonfudowany trochę, sam sobie nie dowierzając, każę fornalowi jeszcze raz obciąć to samo miejsce. Ujechawszy zaledwie parę sążni, ujrzałem na gładziutkiej powierzchni śniegu w odległości mniej więcej pięciu metrów od parpawiny dziurkę wielkości 4 centów. Zagadka mi się wyjaśniła.

Tu wypada mi objaśnić, że terenem naszej myśliwskiej wyprawy był lekki stok południowy, przerżnięty wysokiemi miedzami, odgraniczającemi ryzy, a miedze te, porośnięte mietlicą, ożynami etc., pochylone podczas zadymki, utworzyły rodzaj tunelu, w którem zając mógł sobie wygodnie spacerować. Pokazałem panu S. ów otwór, który zając w śniegu wychuchał i mówię: „Niech pan tego otworu pilnuje, a ja zajdę od parpawiny i zająca wysztarkam". Więc pan S. z odwiedzionemi kurkami i z palcami na cynglach zbliża się do owej w śniegu wychuchanej dziurki, a pochyliwszy się nad nią zagląda w ten tunel; ja zaś zaszedłem z przeciwnej strony i nogą zacząłem śnieg rozwalać, nie patrząc nawet na poczciwego biurokratę. Raptem słyszę strzał i przekleństwo: „A niech go dyabli wezmą!" Kiedy zaś oczy podniosłem, widzę ze zdumieniem pana S. do góry nogami w śniegu leżącego — zająca pomykającego aż się kurzy, a fornal mój tarza się ze śmiechu na saniach. Patrzę na śnieg i widzę kilka kropel krwi, mówię zatem do pana S.: „Zając postrzelony, bo farbuje." „Dyabła tam," odpowiada na to pan S., gramoląc się ze śniegu, „to ja farbuję — nie zając." I rzeczywiście, ujrzałem rozbity nos szanownego biurokraty, z którego się jeszcze krew sączyła.

I cóż się stało? Oto zając, który siedział tuż przy wychuchanej dziurce, nie widząc ratunku, gdym zaczął mu tunel burzyć, wyciął kominka, i tak silnie skarambolował swoim łbem o nos biurokraty, że ten ogłuszony, ściągnął mimowolnie cyngiel i runął w śnieg.

Mimo głębokiego szacunku dla wszelkich dykasteryj biurokratycznych, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu i serdecznie akompaniowałem memu fornalowi. Pan S. skonfudowany i zniechęcony do dalszego polowania, chciał powracać do domu. Ledwie udało mi się namówić go, że po umyciu twarzy śniegiem i zatamowaniu krwi, pozostał — i dobrze się stało, gdyż w dalszym ciągu polowania zabił już bez wszelkich karambolów trzy zające, a po skromnym posiłku, z nabrzmiałą trochę fizyonomią, ale z niezwykłemi trofeami myśliwskiemi, powrócił do domu.

J. R.

Nie dla psa łóżko. Pod tym tytułem otrzymujemy list następujący:

„Szanowny redaktorze! Opowiedziałeś nam o dowcipnem odzwyczajeniu Hektora od kanapy; otóż ja Ci muszę ze wstydem wyznać, żem chciał mojego Trezora odzwyczaić od łóżka i nie udała mi się ta sztuka.

„Budowaliśmy linię Lwów-Bełzec. W chwilach wolnych chodziło się z Tresorem na ptaszki, lecz większą część życia spędzałem nad rajsbretem i rozmaitemi wykazami. Biuro miałem tuż koło pokoju sypialnego. Gdym szedł pracować, Trezor zostawał w sypialni. Podobało mu się to, gdyż ledwiem wyszedł, skakał na łóżko i wysypiał się na niem. Dostał zato parę razy rzemykami, i odtąd, gdym wszedł do sypialni, znajdywałem zawsze psa na podłodze. Byłem uszczęśliwiony tem dobrem wychowaniem Trezora, stawiałem go za przykład wszystkim wyżłom, gdy raz — o cudo! — choć pies był na podłodze i spał na pozór jak zabity, łóżko w pośrodku było wyleżane i ciepłe. Zastanowiła mnie ta psia przebiegłość. Postanowiłem badać mego pieska, a podszedłszy nazajutrz na palcach pod drzwi i zaglądnąwszy przez dziurkę od klucza, ujrzałem go istotnie na łóżku, lecz zaledwie klamki dotknąłem, już pies był na ziemi i udawał śpiącego.

„Poczekaj, dam ja ci bobu!" pomyślałem sobie i nazajutrz, wziąwszy tuzin „pluskiewek", t. j. maleńkich stalowych sztyftów do przypinania papieru, poukładałem je końcami do góry na rajsbrecie i taki morderczy przyrząd wsunąłem pod kocyk na łóżku. Tego samego rana, zaledwie stanąłem za biurkiem, usłyszałem z sąsiedniego pokoju skowyczenie. „Aha! — pomyślałem sobie — dobrze ci tak!" Zaglądnąłem do sypialni, Trezor leżał pod piecem w złym bardzo humorze i lizał sobie łapy. Ta sama próba i to samo skowyczenie powtarzało się przez trzy dni. Czwartego dnia było już cicho. „Przecież się odzwyczaił" — rzekłem do siebie i zbliżyłem się do dziurki od klucza, aby się w miłem przypuszczeniu upewnić. Cóżem ujrzał? Trezora na łóżku. Jakimże się to sposobem stało? Pies odgarnął łapami pluskiewki wraz z kocem na bok i położył się jak najwygodniej. Cóż było robić? Przekonawszy się, że Trezor jest prawie tak uparty i niepoprawny jak człowiek — dałem za wygranę".

Uprasza się szanownych Członków gal. Towarzystwa łowieckiego, ażeby zaległe wkładki za rok bieżący jak najrychlej uiścić raczyli.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.